

CINDY GERARD

Rodzinny Krąg

In His Loving Arms

Tłumaczył: Krzysztof Puławski

ROZDZIAŁ PIERWSZY

„Był moim prawdziwym bratem, chociaż nie łączyły nas więzy krwi. Teraz, kiedy odszedł, mogę za nim tylko tęsknić”.

(Fragment z pamiętnika Marka Remingtona)

Dom brata znajdował się na szczycie wzgórza. Teraz została w nim tylko samotna wdowa. Mark Remington siedział w swoim samochodzie i wpatrywał się w ciemność, żałując, że nie jest gdzie indziej.

Silnik vipera wciąż pracował, ale Mark nie zwracał na to uwagi. W uszach dźwięczała mu prośba Grace McKenzie, zaniepokojonej zachowaniem córki: „Coś jest nie tak, Mark. Wiem, że jest w żałobie, ale powinna pozwolić sobie pomóc. Musi z nami porozmawiać... Zajrzyj do niej. Wiem, że byliście przyjaciółmi, więc może przed tobą się otworzy”.

Mark zastanawiał się, jak postąpić. Nie widział Lauren od pogrzebu, który odbył się trzy miesiące temu. Unikał jej świadomie. Jednak teraz, po spotkaniu z matką dziewczyny, postanowił sprawdzić, co się dzieje z młodą wdową, a potem... raz jeszcze zniknąć z jej życia.

Gdy w słabo oświetlonym oknie ujrzał kobiecą sylwetkę, zacisnął mocniej ręce na kierownicy. Ciemność onieśmiała go, a wspomnienia otaczały niczym duchy. Westchnął ciężko i zagłębił się w fotelu kierowcy.

Spojrzał na zegarek, znajdujący się na tablicy rozdzielczej. Dochodziła trzecia nad ranem. Wyjechał z Sunrise Ranch trochę po północy, tak więc podróż do San Francisco zajęła mu niecałe trzy godziny. Wiedział, że robi rzecz głupią, ale nie mógł się oprzeć nagłemu impulsowi.

Mark pomyślał, że zawsze podejmował decyzje pod wpływem chwili. Pani McKenzie zadzwoniła po dziesiątej, a on po dwóch godzinach wyruszył w drogę. Grace spytała go tylko, jak się miewa, i pewnie nawet nie słuchała odpowiedzi, bo od razu przeszła do sedna sprawy. Chodziło o to, żeby spotkał się z jej córką.

Otworzył okno w samochodzie i odetchnął ciepłym, lipcowym powietrzem. Grace nie wiedziała jednego. Tego, że Lauren nie będzie chciała z nim rozmawiać. A i on wcale nie miał ochoty na tę rozmowę. Jednak przyjechał tu, zaniepokojony stanem Lauren.

Przez chwilę chciał zawrócić i odjechać. W końcu to zawsze wychodziło mu najlepiej – ucieczki. Ratował w ten sposób resztki swojej godności.

Puścił kierownicę, czując nagły ból w piersi. Jego brata pochowano trzy miesiące temu, w kwietniu. Kiedy Nate odszedł, Mark postanowił unikać Lauren, jednak teraz przyjechał tu, kierując się poczuciem obowiązku. Jak słusznie zauważyła Grace, należał przecież do rodziny.

Mark uśmiechnął się do swoich myśli. Przypomniawszy sobie dwie szklaneczki whiskey, które wypił przed wyjazdem. Tyle potrzebował, by zdecydować się na tę eskapadę. Tylko – co dalej? Nie może tu przesiedzieć całej nocy, myśląc o Nacie i Lauren. Musi coś zrobić!

Ta myśl sprawiła, że zdjął ręce z kierownicy i wyłączył silnik, a następnie wytarł dłonie w spodnie i wciągnął głęboko powietrze. Przydałaby się jeszcze jedna whiskey.

– Tak, prawdziwy ze mnie bohater – mruknął pod nosem, przypominając sobie to, co kiedyś napisali o nim w jednej z gazet motoryzacyjnych.

Nazwali go tam „pogromcą szos”, na którym nie robi wrażenia nawet największa prędkość. No i co z tego, skoro boi się zwykłego spotkania?

No, może nie tak zupełnie zwykłego...

Mark westchnął raz jeszcze, a następnie zaczął wysiadać z samochodu. Kiedy był już na zewnątrz, poczuł się zupełnie bezbronny i przez chwilę chciał znów wskoczyć do auta. Jednak włożył tylko ręce do kieszeni i ruszył podjazdem w górę.

Chodziło przecież o dobro Lauren.

ROZDZIAŁ DRUGI

„Sam nie wiem, czego się spodziewałem, ale z pewnością nie tego, że będzie aż tak załamana. I nie tego, że wciąż tak mi na niej zależy”.

(Fragment z pamiętnika Marka Remingtona)

Dzwonek przy drzwiach odezwał się po raz drugi. Lauren spojrzała na zegarek. Była punkt trzecia. Poczowała się winna. To dobrze, że rodzice tak się o nią troszczyli, ale mogliby choć raz dać jej spokój.

Po wczorajszej rozmowie z matką Lauren spodziewała się wizyty rodziców, nie sądziła jednak, że tak szybko zdecydują się na wyjazd z Los Angeles. Musieli więc poczuć się naprawdę zaniepokojeni.

Lauren próbowała przypomnieć sobie rozmowę, jaką wówczas odbyła:

– Kochanie, nie możesz zamykać się w domu i z nikim się nie widywać – mówiła mama. – Pozwól jakoś sobie pomóc.

– Nic mi nie jest, mamó. Po prostu potrzebuję trochę czasu.

– Czasu, czasu! Od... pogrzebu minęły już trzy miesiące!

Wiem, że jest ci ciężko, ale nam też nie jest lekko, kiedy widzimy, co się z tobą dzieje.

– Przecież nie dzieje się nic złego – starała się przekonać matkę.

Ta rozmowa trwała całe dwadzieścia minut, przy czym obie strony w kółko powtarzały te same argumenty. Lauren wiedziała, że nie przekonała rodziców, jednak nie chciała im powiedzieć prawdy. Po śmierci męża znalazła się nagle w otchłani rozpacz i miała problemy, żeby się z niej wydostać. Musiała to jednak zrobić sama, bez niczyjej pomocy.

Dzwonek zadzwonił po raz trzeci. Lauren poprawiła włosy i spróbowała przywołać uśmiech na twarz. Wiedziała, że jest wychudzona i że nie wygląda najlepiej. Chciała jednak zrobić na rodzicach w miarę dobre wrażenie.

Kiedy wstała z sofy, lekko się zachwiała. Była zmęczona. Przez ostatnie trzy miesiące musiała się zmagać nie tylko z bólem po stracie męża, ale również z nowymi problemami, które wraz z upływem czasu stawały się coraz bardziej palące.

Poprawiła szlafrok i podeszła do drzwi. Kiedy je otworzyła, aż cofnęła się do wnętrza.

– Cześć, Lauren.

Musiała zebrać wszystkie siły, aby utrzymać się na nogach. To nie byli rodzice. Za drzwiami stał Mark Remington! Rumieniec na moment powrócił na jej twarz. Lauren poczuła, że nagle zrobiło jej się gorąco.

Ostatnio widzieli się trzy miesiące temu i Mark niewiele się zmienił od tego czasu. Tyle że na brodzie i policzkach miał lekki zarost, a jego niebieskie

oczy zdradzały, że też jest zmęczony i niewyspany. Wokół niego unosił się delikatny zapach wody kolońskiej, której nazwy nie знаła, a która zawsze kojarzyła jej się z Markiem.

Gość wciąż stał na progu, trzymając dłonie w kieszeniach dżinsów.

Lauren nie spodziewała się, że widok Marka tak na nią podziała. Parę razy musiała sobie powtórzyć w myśli, że Mark nic już dla niej nie znaczy i że wybrała inną drogę życia, a i tak efekt był oszałamiający.

– Co tutaj robisz? – spytała nieufnie.

Przyglądał jej się przez dłuższy czas. Widziała, że niechęć walczy w nim ze współczuciem.

– Fatalnie wyglądasz, Lauren – powiedział w końcu. Jego głos przywodził na myśl tak wiele miłych chwil. Był głęboki i ciepły jak kiedyś.

– Przyjechałeś, żeby mi prawić komplementy, co? – warknęła i sięgnęła do klamki, żeby zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

Nagle poczuła wstyd z powodu swojego zachowania. Nie chciała, żeby Mark o tym wiedział. On jednak był szybszy. Przytrzymał drzwi, a następnie otworzył je bez większych trudności. Nie miała siły, żeby się z nim mocować.

– Proponuję zawieszenie broni na dzisiejszą noc – powiedział, wchodząc do środka.

Na chwilę zatrzymał się w przedpokoju, żeby zdjąć swoją skórzaną kurtkę. Tę samą, którą pamiętała z setek zdjęć w różnego rodzaju magazynach. Jego wielbiciele wciąż ją pamiętali, nawet dwa lata po tym, jak z niewyjaśnionych przyczyn zrezygnował z kariery sportowej. A przecież wrócono mu wspinałką przyszłość. Miał się stać pogromcą i następcą takich sław, jak Andretti i Earnhart.

Jednak Mark zawsze z czegoś rezygnował i wciąż przed czymś uciekał. Tak właśnie postąpił siedem lat temu.

Lauren spojrzała na niego z niechęcią i nagle, na widok wyrazu jego twarzy, poczuła ukłucie w sercu. Wiele lat temu kochała się w chłopaku, który w trudnych chwilach robił taką samą minę. Początkowo nabierała się na tę grę, lecz potem zrozumiała, że chodziło o to, by zamaskować kompletną bezradność.

Ale chłopak dorósł i stał się mężczyzną. Nauczył się lepiej maskować. Poznał wielki świat.

Lauren przypomniała sobie artykuły, które o nim czytała. Mark stał się „buntownikiem bez powodu”, nowym wcieleniem Jamesa Deana. Uwielbiali go nie tylko kibice, lecz również kobiety, które nie miały zielonego pojęcia o sporcie samochodowym. A Mark zachowywał się tak, jakby lekcewał wszystkich i wszystko: ludzi, pieniądze, trofea... Balansował na krawędzi życia i śmierci, jakby nie zależało mu na tym, by następnego dnia znów ujrzeć słońce. Jego wyczyny stały się legendarne i nikt nawet nie próbował ich powtórzyć.

Tak, wszyscy go uwielbiali. Wszyscy – poza Lauren.

Przypomniała sobie noc sprzed siedmiu lat, o której przez cały ten czas chciała zapomnieć. Być może to, co się wówczas stało, sama sprowokowała, jednak wiedziała, że to Mark był wszystkiemu winien. Znienawidziła go również za to, że wciąż się wymykał, gnany nieodgadnioną potrzebą ucieczki, a także za to, że przez tych siedem lat rzucał cień na jej spokojne, szczęśliwe małżeństwo. Miała takie wrażenie, jakby ciągle stał między nią a Nate'em.

A teraz Mark patrzył na nią, starając się coś wyczytać z jej twarzy. I chyba to, co zobaczył, niezbyt go zachwyciło. Ale czy mógł oczekiwać czegoś innego?

– Masz coś do picia? – spytał.

Lauren lekko się uśmiechnęła. No cóż, właśnie takiego pytania mogła się spodziewać.

– Muszę cię rozczarować, ale nie mam niczego mocniejszego – odparła.

Pokręcił głową, jakby nie chcąc przyjąć tego do wiadomości, a następnie zajrzał do salonu i natychmiast skierował się w stronę barku.

– Zaraz sprawdzimy – mruknął.

Zupełnie nie pasował do mieszkania w stylu wiktoriańskim, które Lauren i Nate przez lata pieczołowicie urządzali. Mark nie był ani ciepły, ani romantyczny.

– Napijesz się ze mną? – spytał, sięgając po flaszkę brandy ukrytą za innymi butelkami.

Lauren potrząsnęła głową.

– Daj spokój – mruknął. – Brandy na pewno świetnie ci zrobi. Trochę się wyluzujesz.

Lauren zawiązała mocniej pasek od szlafroka i usiadła sztywno na sofie.

– Powiedz od razu, po co przyszedłeś, i wyjdź – rzekła ostro, patrząc na niego z niechęcią.

Mark wziął kieliszek, nalał sobie sporo złocistego płynu, który następnie obejrzał przy świetle lampy.

– Nieźle wygląda – stwierdził i wypił pierwszy łyk. – Tak się pograżałaś w żałobie, że nie widzisz cierpienia innych – dodał po chwili.

Lauren nie spodziewała się ataku. W każdym razie nie z jego strony. Teraz znowu, podobnie jak po rozmowie z matką, poczuła się winna.

– Czy nie przyszło ci do głowy, że nie tylko ty kochałaś Nate'a? – ciągnął Mark.

Spodziewała się sarkazmu, a nie bólu, który nagle pojawił się w jego głosie. Nie sądziła, że Mark będzie chciał z nią rozmawiać szczerze. Przecież zawsze grał, zawsze się przed czymś ukrywał.

– Nie rozumiesz mojej sytuacji – zaczęła słabym głosem. – Śmierć Nate'a to dla mnie coś... coś strasznego.

Spojrzał na nią swoimi jak zwykle zimnymi niczym kawałki lodu oczami.

Lecz o dziwo, tym razem pojawił się w nich ból.

– Chcesz powiedzieć, że to ja powinienem zginąć – raczej stwierdził, niż spytał.

Powinna zaprzeczyć, zwłaszcza że nigdy tak nie myślała, jednak przepełniający ją żal nie pozwolił jej mówić. Zapadła dręcząca cisza. Mark spojrzał nerwowo na kieliszek i wypił całą jego zawartość.

Lauren patrzyła na niepewną minę gościa. Mogła niemal czytać w jego myślach: „To ja zawsze żyłem na krawędzi. To ja powinienem zginąć. Nate nigdy nawet nie dostał mandatu za przekroczenie szybkości. I nagle trzeba było trafu, że nadział się na tego pijanego kierowcę”.

Poczucie winy stało się jeszcze bardziej dojmujące. Lauren zrozumiała, że oboje stracili Nate’a. Jednak nie to było najgorsze. Nagle zrozumiała, że Mark wciąż budzi w niej żywe uczucia. Niechęć, tak, ale i coś jeszcze... czego jednak lepiej nie nazywać.

Postanowiła nie poddawać się tym emocjom. Zdecydowała też, że nie powie Markowi o problemie, który coraz bardziej ją nurtował.

Mark spojrzał na pusty kieliszek, który trzymał w ręce, jakby zastanawiając się, co z nim zrobić, a następnie odstawił go na stolik. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. W ciszy oboje słyszeli tykanie zegara.

– Dzwoniła do mnie twoja mama – oznajmił w końcu Mark, obracając się w stronę Lauren.

Skuliła ramiona.

– Nie powinna cię niepokoić, przykro mi. Mark niecierpliwie machnął ręką.

– Mówiła, że wszyscy się o ciebie martwią.

– I przysłała cię, żebyś się mną zajął – stwierdziła Lauren, a następnie zaśmiała się sucho i nieprzyjemnie. – To tak, jakby wysłać lisa, żeby pilnował kurnika.

Mark również lekko się uśmiechnął.

– Widocznie nie czytywała magazynów dla kobiet – powiedział. – Zresztą zawsze uważała mnie za bohatera, pamiętasz?

Na to wspomnienie Lauren zrobiło się cieplej na sercu.

– Mhm, od kiedy uratowałeś jej kota – potwierdziła. – Sama nie wiem, jak udało ci się ściągnąć tego dzikusa z drzewa.

Mark skłonił jej się z galanterią.

– Po prostu wykazałem się sprytem i odwagą. Jak zawsze. – Spojrzał na nią poważniej. – Co się dzieje, Lauren? Twoja mama mówi, że głodujesz, co zresztą widać, a zdaje się też, że przestałaś sypiać. Wyglądasz jak duch!

W odpowiedzi potrząsnęła gniewnie głową.

– Sama nie wiem, jak ci się udało oczarować tyle kobiet! Chyba nie prawileś im takich komplementów, co?

I jak to się działo, że jej własne serce biło w jego obecności szybciej?!

– Nie mówimy w tej chwili o moich kobietach – odparował Mark. – Chcę wiedzieć, co się dzieje, Lauren? Co ty ze sobą wyprawiasz?!

Zaczął chodzić po salonie, zerkając co jakiś czas w jej stronę, jakby w oczekiwaniu na odpowiedź.

– To nie twoja sprawa!

Tak, to była wyłącznie jej sprawa. Musi jakoś pogodzić się z tym, co się stało, a także dojść ze sobą do ładu. Nate zostawił ją z problemem, z którym musi się sama uporać. A już z całą pewnością nie potrzebuje pomocy Marka.

Zatrzymał się przed nią i lekko dotknął jej ramienia.

– Nate nie żyje – powiedział po prostu.

Lauren skurczyła się jeszcze bardziej, myśląc o tym, że od trzech miesięcy stara się pogodzić z tym faktem.

Przypomniała sobie wieczór, kiedy czekała na Nate'a, lecz zamiast niego zjawili się dwóch policjantów. Najpierw nie potrafiła uwierzyć, a potem zapadła w głęboką rozpacz.

Wstała i mijając Marka, przeszła na drżących nogach do barku. Chciała sięgnąć po butelkę, lecz fala mdłości sprawiła, że chwyciła się tylko za krawędź mebla. Usłyszała jeszcze, że Mark o coś ją pyta.

– Nic mi nie jest – szepnęła, z trudem rozchylając wargi.

Nie upadła. Mark schwycił ją i objął mocno. Znowu poczuła zapach jego wody kolońskiej, który docierał do niej jakby z zaświatów. Pomyślała, że najchętniej straciłaby przytomność i nie odpowiadała na żadne pytania.

– Pu... puszczaj – jęknęła.

– Nie puszczę, dopóki nie dojdiesz do siebie. Lauren z trudem złapała powietrze.

– Puszczaj! Zaraz będę wy... wymiotować! Natychmiast wziął ją na ręce i ruszył w głąb domu, szukając toalety.

– Tu, tu! Na prawo! – wyjaśniła z trudem.

Na szczęście dotarli na czas. Lauren opadła na kolana i pochyliła się nad sedesem. Było jej zbyt niedobrze, by czuć wstyd. Mark pochylił się i odgarnął jej włosy z twarzy.

Kiedy było już po wszystkim, nie znalazła w sobie tyle siły, by go poprosić, żeby wyszedł. Usiadła na podłodze, opierając się plecami o ścianę łazienki, a Mark zmoczył ręcznik.

– Dziękuję – powiedziała, wycierając twarz. – Już wszystko w porządku.

Przyklęknął i spojrzał jej w oczy.

– Jak zbierzesz siły, pojedziemy do lekarza. Nie przypuszczał nawet, że jego słowa wywołają taką reakcję.

– Nic mi nie jest! Nie pojedę do żadnego lekarza! – protestowała Lauren, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Idź już sobie! Idź!

Wciąż przyglądał jej się uważnie.

– Dobrze, możemy nie jechać do lekarza. Ale musisz mi powiedzieć, co ci jest.

Łzy zaczęły spływać Lauren po twarzy. Nagle zrobiło jej się wszystko jedno. Nie miała siły, żeby walczyć. Jaka to ironia losu, pomyślała, że musi o tym powiedzieć w takich okolicznościach i to właśnie Markowi, a nie Nate'owi.

– Co mi jest? – powtórzyła. – Nic takiego. Po prostu jestem w ciąży.

W łazience zapanowała nagle niemal absolutna cisza. Lauren uniosła nieco głowę i dostrzegła wyraz współczucia, który pojawił się w oczach gościa. Właśnie tego chciała uniknąć.

– Och, Lauren!

Nieporadnie próbowała wytrzeć łzy, które wciąż płynęły po jej policzkach.

– Nie, nie chcę, żebyś mi współczuł! – jęknęła.

W odpowiedzi Mark dotknął tylko delikatnie jej ramienia, i ten czuły gest sprawił, że coś w niej pękło.

– To niesprawiedliwe – poskarżyła się, a Mark objął ją ramieniem.

Lauren przytuliła się do niego. Sama nie wiedziała, jak bardzo jej brakowało bliskości drugiego człowieka. Wydawało jej się, że jeśli Nate nie może jej pocieszyć, to nikt nie powinien tego robić.

– To niesprawiedliwe – podjęła po chwili. – Nate tak bardzo chciał mieć dziecko, a teraz... – głos jej się załamał. – Teraz nawet o tym się nie dowie.

Przytulił ją mocniej.

– Uspokój się – szepnął. – Wszystko będzie dobrze. Już ja się tym zajmę.

Zaczął gładzić jej jasne włosy, a Lauren poddała się pieścizocie. Chciała wierzyć, że Mark mówi prawdę. Znowu zaczęła mieć nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży, chociaż doświadczenia ostatnich miesięcy wciąż wydawały jej się przerażające. Została sama na świecie. Sama z małą kruszyną, którą będzie musiała wychować.

Teraz był przy niej Mark. Czowała jego uścisk i jego dłoń gładzącą delikatnie i czule jej włosy. Mimo to jednak wiedziała, że nie można mu wierzyć. Ten mężczyzna nigdy nie znalazł i nigdy już chyba nie znajdzie swojego miejsca na ziemi. Teraz jest przy niej, a za chwilę odejdzie i zostawi ją samą.

ROZDZIAŁ TRZECI

„Kiedy ją zobaczyłem i poczułem jej bliskość, zrozumiałem, że straciłem coś, czego nigdy nie miałem”.

(Fragment z pamiętnika Marka Remingtona)

Mark wiedział z doświadczenia, że czasami nie jest ważne, kto nas tuli. Najważniejsze, że to robi. Tak właśnie stało się z Lauren, która w jego ramionach poczuła się bezpieczna.

Dlatego przytulił ją mocniej, chociaż klęczał na zimnej podłodze i czuł, że zdrętwiała mu prawa noga. Wypił dużo, ale nie był pijany. Chciał, żeby Lauren chociaż na chwilę przestała płakać. Wszystko wskazywało na to, że przez ostatnie miesiące żyła w potwornym napięciu.

Była w ciąży. Nosila w sobie dziecko Nathana.

Mark pomyślał, że Lauren ma rację. To rzeczywiście jest niesprawiedliwe, że Nate nie może cieszyć się tą wspaniałą nowiną. Jednak los w ogóle nie jest sprawiedliwy, a czasami potrafi też być okrutny.

Lauren poruszyła się i nagle przyszło mu do głowy, że jej również może być niewygodnie. Przyciągnął ją bliżej, żeby mocniej się o niego oparła, ale to rozwiązanie nie wydawało się najszcześniejsze.

– Wstań, kochanie, zaprowadzę cię do łóżka – szepnął jej do ucha.

Lauren wymamrotała coś w odpowiedzi i mocniej przytuliła się do niego. Prawą rękę zarzuciła mu na szyję. Poczuł jej wątle ciało tuż przy swoim.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że usnęła i bierze go za Nate'a.

– Dobrze – powiedział i pocałował ją delikatnie w czoło, – zostaniemy tu jeszcze przez chwilę...

...by jeszcze przez chwilę dotykać jej jedwabistych włosów, czuć przy sobie miękkie ciało i wsłuchiwać się w rytm jej serca... udając, że jej pomaga.

Jednak za moment egoistycznej słabości Mark zapłacił wysoką cenę. Bliskość Lauren spowodowała, że natychmiast wrócił pamięcią do wydarzeń sprzed siedmiu lat. Przypomniał sobie to, co nigdy nie powinno się wydarzyć.

Zdarzyło się to w przeddzień ślubu Lauren i Nate'a. Lauren promieniała radością, lecz jednocześnie była bardzo zmęczona. Wciąż miała jakieś wizyty lub spotkania i mnóstwo spraw do załatwienia. Dlatego Mark postanowił ją trochę rozerwać. Najpierw zaproponował drinka, którym się niemal upiła, a następnie przejażdżkę nadmorską autostradą.

Oboje czuli się wspaniale. Jechali jego kabrioletem, czując wiatr na twarzach. Noc była ciepła, niemal pogodna. Lauren pisnęła, kiedy samochód gwałtownie skręcił i podskoczył na wyboju. Jednak kiedy Mark wybuchnął

śmiechem, zaraz mu zawtórowała.

Zatrzymali się przy piaszczystej plaży. Mark zgasił światła i wyłączył silnik.

– Teraz mogę ci powiedzieć oficjalnie, że to porwanie – oznajmił.

Lauren ponownie wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś niemożliwy!

Przy świetle księżycy widział jej oczy, w których pojawiły się iskierki. Lauren uwielbiała różnego rodzaju żarty i uważała, że ich zniknięcie to świetny kawał.

Serce Marka zaczęło bić szybciej, lecz szybko wmówił sobie, że to z radości, iż Lauren wreszcie trochę odpoczęła. Bo jakżeż inna mogła być tego przyczyna? Sięgnął na tylne siedzenie, gdzie leżał koc i butelka szampana, ukradziony z weselnych zapasów. Następnie otworzył drzwiczki i wyszedł z wozu.

– Pamiętaj, że jako brat pana młodego i jego świadek mam określone obowiązki – powiedział. – Muszę przede wszystkim bawić pannę młodą, dopóki... – zawiesił głos – dopóki jest jeszcze wolną kobietą.

Posłał znaczący uśmiech Lauren, która właśnie wysiadała z samochodu.

– Wiesz, że nikt nie potrafi robić tego lepiej ode mnie – dodał jeszcze.

Wystarczyło na nią spojrzeć, by wiedzieć, że akceptuje jego plan. Znali się dobrze, może nawet za dobrze. Od lat mieszkali obok siebie i spędzali razem wiele wolnych chwil. Markowi nawet wydawało się, że od swoich dziesiątych urodzin, kiedy to Lauren podarowała mu prawdziwy fiński nóż, jest w niej śmiertelnie zakochany. No cóż, do tej pory nikt nie dał mu tak wspaniałego prezentu.

Jednak niemal od początku wiedział, że ich związek skazany byłby na niepowodzenie. Lauren pochodziła z zamożnej, mieszczańskiej rodziny, a on z rodziny degeneratów. Nie znał nawet swojego ojca, a o matce starał się zapomnieć.

Wychowywał się w przedsionku piekła, zaś dzieciństwo Lauren usłane było różami.

Od domowego koszmaru uciekał na tory wyścigowe Nascar, gdzie na początku pozwalano mu myć samochody zawodników. Tam też schronił się po ucieczce z domu.

Jednak w Lauren najbardziej cenił to, że akceptowała go takim, jakim był. Tolerowała jego wybryki, a niektóre wręcz uważała za zabawne. Zawsze też wiedziała, gdzie go znaleźć. Rozumiała jego napady smutku i milczenia, które były trudne do przyjęcia dla Remingtonów. Była jego prawdziwą przyjaciółką.

A teraz miała zamiar wyjść za mąż za jego brata. Za „lepszego” z braci, jak sobie powtarzał.

Mark cieszył się z tego. Uwielbiał Nate’a i wiedział, że tylko on mógł dać

jej szczęście.

Jednocześnie dostrzegał, że Lauren jest zmęczona i zaniepokojona perspektywą małżeństwa. Tak jakby nie była do końca przekonana do tego związku. Wystarczy jednak, że się rozluźni, i na pewno wszystko świetnie pójdzie. Jutro przecież jej ślub, a następnie weselne przyjęcie.

– No co? Idziemy na plażę? – spytał z uśmiechem. Lauren wahała się przez chwilę.

– Nate będzie się zastanawiał, gdzie zniknęłam – powiedziała z ociąganiem.

– To niech się zastanawia! Będzie cię miał przy sobie przez resztę życia.

Chwycił jej dłoń i przyciągnął do siebie. Opierała się, ale tylko troszeczkę. Po chwili rozłożył koc i zabrał się do otwierania szampana. W koszu miał jeszcze dwa kieliszki.

– Nie przejmuj się – dodał. – Nigdy nas tu nie znajdzie.

– Powinni cię zamknąć z powodu całkowitego braku zasad – zauważyła.

Rozległ się huk i odrobina szampana wylała się na piasek. Mark napełnił kieliszki i podał jeden Lauren, patrząc jej wprost w oczy.

– Bawmy się więc, dopóki jeszcze jestem wolna! – zawołała.

Wzniesli kieliszki, a Mark nawet na moment nie spuszczał wzroku z Lauren.

– Zdrowie najpiękniejszej panny młodej w całym stanie, a może nawet w całym kraju! – wzniósł toast. – Nate to prawdziwy szczęściarz.

Wypili parę łyków, bez przerwy na siebie patrząc, jakby zniewoleni wciąż potężniejącą siłą.

Od lat było wiadomo, że Lauren wyjdzie za Nate'a. Kiedyś zwierzyła się Markowi, że kiedy myśli o jego bracie, widzi przytulny dom i ogień płonący na kominku. Taki był Nate. Gwarantował pewną przyszłość, spokój i harmonię.

Natomiast Mark, chociaż często myślał o Lauren, nigdy nie planował małżeństwa. Był wspaniałym kochankiem, ale na męża i ojca się nie nadawał. Słynął z gwałtownego temperamentu i zwariowanych pomysłów, nie potrafił usiedzieć na miejscu, wciąż za czymś gonił, lub raczej... uciekał.

Wypili i Mark ponownie napełnił kieliszki.

– Pij, pij – zachęcał ją. – Musisz się wyszumieć, zanim zakują cię w kajdany i staniesz się kulą u nogi swojego męża.

Lauren parsknęła śmiechem.

– Ja? Kulą u nogi?

Mark delikatnie trącił swoim kieliszkiem kieliszek Lauren.

– Bądźcie szczęśliwi – powiedział już całkiem poważnie. Skinęła głową, a w jej oczach pojawiły się łzy. Odwróciła się, żeby popatrzeć na ocean, nad którym lśnił wielki, złoty księżyc. Od wody wiał lekki wiatr, który przynosił ulgę po spiekocie dnia. Oboje znali to miejsce. Przyjeżdżali tu, kiedy chcieli

uciec przed innymi albo przed jakimiś problemami. Była to dzika plaża, do której prowadziła stara wyboista droga.

Właśnie tutaj najlepiej im się rozmawiało. Mark nie bez kozery właśnie w to miejsce przywiózł Lauren, ponieważ wydawało mu się, że coś ją gryzie. Jeśli miała jakieś problemy, chciał je poznać, zanim wyjdzie za mąż.

I tym razem przeczucie go nie zawiodło, a odrobina szampana szybko rozwiązała język dziewczyny.

– Czy uwierzysz, jeśli powiem, że trochę się boję? – zaczęła.

Nie patrzyła teraz na niego, ale zaglądała do wnętrza kieliszka, w którym pozostało trochę szampana. Przysunął się do niej, by raz jeszcze na nią spojrzeć. Chciał się dowiedzieć wszystkiego. Jednocześnie bliskość Lauren i jej zapach sprawiły, że zakreśliło mu się w głowie.

– Tak? – mruknął tylko, chcąc dać znak, że słucha.

Jednak Lauren zamilkła, jakby nieco onieśmielona. Odstawiła kieliszek i spuściła głowę. Chcąc ją zachęcić do mówienia, położył delikatnie dłoń na jej ramieniu. Lauren drgnęła, jakby prąd przebiegł po jej ciele.

– Po prostu mam problemy z podjęciem decyzji – powiedziała niepewnie.
– Zobaczysz, sam będziesz je miał, jak przyjdzie na ciebie kolej.

Chciał jej powiedzieć, że chyba wszystko już dobrze przemyślała, skoro zdecydowała się na ślub, ale stwierdził, że lepiej będzie milczeć. Lauren uniosła głowę.

– I boję się nocy poślubnej – wyznała w końcu. – Tylko... nie śmieć się ze mnie.

Mark popatrzył na nią z bezgranicznym zdziwieniem. Nigdy nie zastanawiał się nad życiem erotycznym Lauren. Jak się okazało, nie było nad czym.

– Chcesz powiedzieć, że nigdy...? – upewnił się. Pokręciła głową.

– Nigdy tego nie robiłam.

– Nawet z Nate'em?

– Przecież powiedziałam, że nigdy – powtórzyła ze łzami w oczach.

– Albo Nate ma nerwy ze stali, albo jest głupcem – powiedział Mark. – Chyba nie boisz się seksu? Nie wpadasz w panikę? Nie robisz się cała jak z drewna?

Lauren zadrżała, a następnie zrobiła taki ruch, jakby chciała wstać i uciec, jednak Mark był szybszy i powalił ją na koc.

– Jesteś zimnym draniem! – jęknęła. – Zachowujesz się jak prostak!

Mark czuł pod sobą jej ciało. Lauren chciała się wyrwać, okładała go piąstkami, lecz zabrakło jej siły.

– Hej, co robisz?! Przecież próbuję rozwiązać twój problem. Gdy Lauren rozpaczliwie zaszlochała, Mark puścił ją i usiadł obok. Jednak ona wciąż płakała, zwinięta w kłębek.

– No już dobrze! Przepraszam – wymamrotał w końcu. – Wiedziałem, że coś się z tobą dzieje, ale nigdy bym nie przypuszczał... Przecież chodźcie ze sobą już od jakiegoś czasu!

Lauren usiadła na kocu jak najdalej od Marka i wytarła oczy. Zapatrzyła się na morze.

– Nie jesteście już przecież niewinnymi szesnastolatkami – powiedział, by przerwać ciszę.

Dwudziestodwuletnia dziewica była w Kalifornii podobnym ewenementem jak śnieg na Saharze. Jakby tego było mało, Lauren i Nate przez kilka lat uczyli się w Los Angeles, siłą rzeczy biorąc udział w szalonym studenckim życiu. No cóż, widocznie bywa i tak.

Teraz, po uzyskaniu dyplomów, oboje mieli zacząć pracę. On w firmie reklamowej, a ona w szkole.

Lauren tylko wzruszyła ramionami.

– Jesteś jego bratem. Może coś ci mówił o... tym? Mark pokręcił głową.

– Wbrew obiegowym opiniom, mężczyźni niechętnie rozmawiają o takich sprawach – powiedział. – Zwłaszcza gdy chodzi o poważne związki.

Lauren wciąż patrzyła w morze.

– A jeśli po prostu nie wzbudzam w nim pożądania? – zapytała łamiącym się głosem. – To przecież możliwe, prawda?

Musiła długo w samotności borykać się z tym problemem, bo gdy wreszcie oderwała wzrok od bezmiaru wód i spojrzała na Marka, w jej spojrzeniu była niema prośba o pomoc... Jakby od jego odpowiedzi zależało jej przyszłe szczęście.

– Taki facet musiałby być ślepy – odparł Mark, chcąc ją pocieszyć.

– Ale przecież w tobie nie wzbudzam pożądania, prawda? – zadała następne pytanie, nie zdając sobie sprawy z tego, jak go prowokuje i zarazem podnieca.

Mark musiał chwilę odczekać, nim zdołał z siebie cokolwiek wydusić.

– Bo... bo jesteś dla mnie jak siostra – powiedział i zaraz zorientował się, że była to zła odpowiedź. Oczy Lauren pociemniały z upokorzenia.

– To znaczy, że nie pragniesz mnie – stwierdziła.

– Wcale tego nie powiedziałem – bronił się Mark, czując narastające pożądanie.

Lauren przysunęła się do niego.

– A przecież tyle razy mnie całowałeś i nic – dodała.

– W policzek – przypomniał jej. – To były właśnie braterskie pocałunki. Ale to nie znaczy, że nie widzę, jak jesteś atrakcyjna.

Lauren westchnęła i znów się skuliła.

– To może znaczyć, że wina leży po mojej stronie – stwierdziła z westchnieniem. – Może po prostu jestem oziębła. Jak to powiedziałeś? Że robię

się cała jak z drewna?

Mark przysunął się do niej i położył palec na jej ustach. Chciał w ten sposób dać znak, że niepotrzebnie to wszystko mówi i że on jest jej sojusznikiem. Jednak ten niewinny gest wywołał burzę. Pierś Lauren zafalowała, a Mark poczuł nagłą erekcję.

Powinien natychmiast odsunąć się i obrócić wszystko w żart. Oboje przecież uwielbiali się śmiać. Jednak nie zrobił tego, ponieważ Lauren patrzyła na niego tak, jakby tylko on mógł potwierdzić jej kobiecość. Jakby od niego zależało całe jej życie.

– Lauren... proszę, nie patrz tak na mnie – powiedział nieswoim głosem.

Jednak ona nie spuszczała z niego wzroku. Jego palec zsunął się z jej warg i powędrował niżej. Dotknął gładkiej szyi i wyczuł gwałtowne bicie serca. Jego serce również tłukło się jak oszalałe.

Jeszcze przez chwilę zdolali wytrzymać w pewnym oddaleniu, a potem nagle przywarli do siebie w pocałunku. Nie był to jednak braterski pocałunek. Język Marka penetrował wnętrze ust Lauren, a ona poddawała się temu. Kiedy się od niej oderwał, jęknęła z rozkoszy.

Z całą pewnością nie była oziębła. Jeśli chciał to tylko udowodnić, powinien się w tym momencie zatrzymać.

Lauren miała na sobie jedynie krótką spódniczkę oraz bluzkę, która przesunęła się teraz wyżej, ukazując jej nagi brzuch. Mark dotknął go, bojąc się tego, co robi. Jednak zmysły zagłuszyły w nim poczucie winy. Przesunął ręką po nagim ciele, a Lauren westchnęła z rozkoszy i wyprężyła się niczym kotka. Nie mógł się powstrzymać i dotknął przez biustonosz jej piersi.

– O, Mark... – jęknęła.

Pomyślał, że za chwilę będzie już za późno, by się wycofać.

Jednak nagle cudowna, sprężysta pierś wysunęła się z miseczki stanika. Nawet nie przypuszczał, że będzie tak wspaniale pasować do jego dłoni. Zaczął pieścić jej twarde koniuszek przy akompaniamencie pojękiwań i westchnień Lauren.

– Och, nie przestawaj! O, jak dobrze!

Nagle zrozumiał, jak bardzo przez te wszystkie lata pragnął Lauren i jak bardzo ona go pragnęła... Oboje stracili tyle czasu, a teraz... teraz nie mogą już do siebie należeć.

Cofnął się gwałtownie, jakby jakaś siła odepchnęła go od Lauren, i usiadł na skraju koca. Dziewczyna najpierw jęknęła, patrząc w jego kierunku, a potem nagle dotarło do niej, gdzie jest i co się z nią dzieje. Natychmiast nerwowo doprowadziła do ładu swoje ubranie.

Mark wylał na piasek resztę szampana i wrzucił koc na tylne siedzenie samochodu. Starali się na siebie nie patrzeć, dręczeni wyrzutami sumienia. Całą drogę do miasta milczeli, chociaż Mark chciał coś powiedzieć, wyjaśnić czy

może jakoś się usprawiedliwić. Wciąż towarzyszyło mu przekonanie, że gdyby sam się nie wycofał, Lauren pozwoliłaby mu na wszystko. Dlaczego? Czy tylko po to, by pozbyć się kompleksów?

Zatrzymał się przed domem jej rodziców. Lauren szybko wyskoczyła z wozu i nie oglądając się za siebie, pobiegła do drzwi. Mark jeszcze długo siedział w swoim kabrioletcie, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. Miał wielką ochotę pójść za Lauren i zmusić ją do poważnej, zasadniczej rozmowy.

Jednak stchórzył. Jak zawsze. Miał osiem lat, kiedy po kolejnej awanturze z matką uciekł z domu. Po dwóch latach, które spędził, włóczęc się po ulicach, przygarnęli go Remingtonowie i Nate został jego przyrodnim bratem. Jednak mimo iż wreszcie zdobył prawdziwy dom, często nachodziła go przemożna chęć, by umknąć gdzieś na kraj świata. Był uciekinierem z natury, jakaś fatalna siła przepędzała go z każdego miejsca, gdzie choć na chwilę się zatrzymał.

W końcu pojechał do swego domu. W nocy nie mógł zasnąć. Żałował tego, co się stało, ale czasami też żałował nie wykorzystanej okazji. Nienawidził sam siebie. Urodził się na śmietniku i tam właśnie powinien wrócić. Przecież Nate jest jego bratem!

Następnego dnia obserwował Lauren, która starała się wejść w rolę szczęśliwej panny młodej. Jednak nawet najlepszy makijaż nie był w stanie ukryć cieni pod jej oczami.

Unikali siebie przez całą uroczystość. To, co się stało, zniszczyło ich beztróską, radosną przyjaźń, bo przecież dobrze wiedzieli, jak bardzo siebie pragną... i że nigdy nie będą mogli tego ujawnić.

Ceremonia zaślubin odbyła się o ósmej wieczorem. Będąc drużbą, Mark musiał stać tuż przy nowożeńcach. Gdy Lauren została żoną jego brata, stwierdził, że musi tę kobietę na zawsze wymazać z pamięci.

Tylko jak tego dokonać? Tuż przed wypowiedzeniem sakramentalnego „tak” spojrzała na niego z błaganiem o pomoc... a on natychmiast uciekł wzrokiem. Uciec? Tak. Ale zapomnieć?

Lauren poruszyła się w jego ramionach. Nogi miał zupełnie zdętwiałe, więc zmienił pozycję i poczuł mrowienie w całym ciele. Krew popłynęła szybciej w jego żyłach.

Jak to się stało, że ta jedna noc zmieniła życie ich trojga? Nate, bracie, nie chciałem się w niej zakochać, powtórzył po raz kolejny. To miała być przyjacielska przysługa. Chciałem pomóc Lauren, bo miała poważny problem. Potrzebowała dobrej rady i trochę rozrywki.

Od czasu ślubu ich stosunki znacznie się ochłodziły. Mark często wyjeżdżał. Szukał zapomnienia, może nawet śmierci. Jednak teraz, siedząc w łazience z Lauren w ramionach, zrozumiał to, przed czym uciekał przez siedem lat. Kochał ją. Zawsze ją kochał. I wtedy, kiedy zobaczył ją przypadkowo, gdy

miął osiem lat. I wtedy, gdy dała mu finkę. I wtedy, gdy przed nią uciekał.

Kochał Lauren również teraz, kiedy po tylu latach znów się spotkali. Już trzy miesiące temu, gdy zobaczył ją na pogrzebie, serce zabiło mu nagle jak szalone. Teraz jednak potrafił już nazwać to uczucie.

– Lauren, wstań – powiedział, próbując ją ocucić. – Musisz się położyć.

Zastanawiał się, czy Lauren wie o tym, że on ją kocha. Pewnie nie. Ale gdyby się dowiedziała, miałaby jeszcze więcej powodów, aby go nienawidzić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

„Nie chciała, bym przy niej był. Wydawało mi się, że dzięki temu łatwiej mi będzie odejść. Myliłem się jednak”.

(Fragment z pamiętnika Marka Remingtona)

Lauren obudziła się, czując na twarzy chłodny powiew wiatru i ciepłe promienie słońca. Okno w jej sypialni było otwarte. Ziewnęła i z rozkoszą przeciągnęła się. Już od dawna nie czuła się tak wypoczęta. Z dołu dobiegały dźwięki spokojnej muzyki oraz zapach kawy i... smażonego bekonu! Ogarnął ją wilczy apetyt. Wspaniale! Zaraz będzie mogła zjeść śniadanie.

Uśmiechając się, jeszcze przez chwilę poleżała w łóżku, wsłuchując się w odgłosy poranka. Wreszcie wstała i zaczęła powoli wracać do rzeczywistości.

Najpierw uświadomiła sobie, że to nie jest niedzielny poranek spędzany z mężem. Nate nie żyje, pomyślała i powrócił stały towarzysz – cierpienie.

Co się wobec tego stało? Czyżby ona też umarła?

Uszczypnęła się w ramię i poczuła ból. A więc wciąż żyje. I jest sama w domu.

Wobec tego skąd ta muzyka i kawa? Nie, nie może być sama. Chyba że z wycieńczenia ma omamy słuchowe i zapachowe.

Położyła się na plecach, chcąc przemyśleć całą sytuację. Ktoś niewątpliwie znajdował się w jej kuchni. Musiała się dowiedzieć, kto. Nie wpadła jednak na to, że najprościej byłoby zejść na dół i przyjrzeć się intruzowi.

– Dzień dobry! Widzę, że już się obudziłaś – usłyszała głos dobiegający od drzwi.

Uniosła się gwałtownie. Na progu jej sypialni stał mężczyzna, którego wcale się nie spodziewała ujrzeć. Mark Remington. Wyglądał naprawdę świetnie, chociaż był nie ogolony i chyba trochę niedospany.

Powoli zaczęła sobie przypominać wydarzenia ubiegłej nocy. A co stało się na koniec? Zemdląca. Chyba po prostu zemdląca.

Znowu opadła na poduszki, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Patrzyła w sufit. Może Mark zostawi mnie i sobie pójdzie? myślała z nadzieją.

Jednak po chwili usłyszała lekkie skrzypienie podłogi. Mark nie tylko nie wyszedł, ale zaczął się zbliżać do jej łóżka. Nie domyślił się, że ona nie chce z nim rozmawiać. Może po prostu powinna mu to powiedzieć?

Mark nie był mężczyzną, którego by teraz potrzebowała. Nie miał w sobie nic z Nate'a. Zawsze przed nią uciekał. Wciąż się gdzieś chował. Zresztą, nie tylko przed nią, bo również przed swoją rodziną, a pewnie i przed całym światem.

– Zrobiłem śniadanie – powiedział, zatrzymawszy się w połowie drogi. –

Czeka na ciebie w piekarniku. Może zejdziesz?

Chciała powiedzieć, żeby sobie poszedł. Nie zapraszała go tu, nie będzie z nim rozmawiała i niech sobie wraca, skąd przybył. Nie miała również najmniejszego zamiaru jeść śniadania, które przygotował.

Jednak samotność dała się jej już porządnie we znaki. I chociaż Mark był ostatnią osobą, z którą pragnęła rozmawiać, wiedziała, że tylko on jest na tyle gruboskórny, by ignorować jej prośby o opuszczenie jej domu.

Wszyscy inni posłuchali jej – i dlatego została sama jak palec.

Nagle przypomniała sobie wszystkie szczegóły wczorajszej nocy. Również te, które chciała wymazać z pamięci. Najpierw wymiotowała w łazience, a potem Mark trzymał ją w ramionach. Na koniec pewnie straciła przytomność i musiał ją zanieść do łóżka, bo nie pamiętała, w jaki sposób znalazła się w sypialni.

Czy ją rozebrał?! Nie zrobił tego, stwierdziła z ulgą. Wczoraj miała na sobie ten sam szlafrok, w którym leżała teraz na łóżku.

Po chwili znowu usłyszała skrzypienie podłogi, a następnie ciche odgłosy kroków na schodach. Nie poruszyła się nawet, chociaż bardzo chciała zatrzymać Marka. Zszedł tylko na dół? A może postanowił wyjechać? Sama nie wiedziała, co chciał zrobić i czego ona sama pragnie.

Ciężko westchnęła. Przed nią był kolejny dzień, który musiała jakoś przeżyć.

Zeszła do kuchni o pół do jedenastej. Mark siedział przy stole i popijał kawę. Przynajmniej nie jest już taka blada, pomyślał. Natychmiast wstał i podszedł do ekspresu, by nalać jej kawy. Ze zdziwieniem stwierdził, że wciąż jest zdenerwowany i z trudem trzyma w dłoniach spodeczek z filiżanką.

Natomiast Lauren wyglądała na zrelaksowaną. Wzięła prysznic i umyła włosy, ubrana była w żółtą bluzeczkę i szorty. Wciąż miała wspaniałą figurę, chociaż cięża nieco zaokrągliła jej kształty.

Mark z niepokojem myślał o tym, co wydarzyło się w nocy. Zastanawiał się, czy Lauren coś z tego pamięta. On wciąż rozpamiętywał, jak cudownie było trzymać ją w ramionach. Czuł jeszcze zapach jej ciała. Chciał o tym zapomnieć i... nie potrafił.

Przeklinał siebie też w duchu za to, że odebrał telefon, który zadzwonił o dziewiątej. Nie chciał, by Lauren się obudziła i dlatego szybko podniósł słuchawkę, a teraz nie miał już wyjścia i musiał zająć się bratową tak, jak obiecał. Dlaczego wcześniej nie zadzwonił do jej rodziców z informacją, że wszystko jest w porządku, a Lauren potrzebuje tylko trochę czasu? Mógł uspokoić przyjaciół i znajomych, a potem zniknąć.

Tak jak zawsze.

Jednak teraz nie mógł już uciec. Sklął siebie w duchu za taką

nieroztropność. Ale cóż, jakąś potężna siła ciągnęła go ku Lauren.

Nie mógł tak po prostu wstać, wsiąść do samochodu i wrócić do siebie. Do głowy cisnęły mu się kolejne pytania związane z Lauren. Wiedział, że musi znaleźć na nie odpowiedź.

Siedziała przy dębowym stole i dopijała kawę.

– Przygotowałem ci śniadanie – poinformował ją Mark.

Wyłączył elektryczny piekarnik i włożył kuchenną rękawicę. Po kolei stawiał przed Lauren wielki omlet, grzanki z bekonem i gotowane warzywa, a następnie sięgnął do lodówki i napełnił kubek sokiem pomarańczowym. Tak sobie wyobrażał poranny posiłek przyszłej matki.

– Jedz – powiedział. Wzruszyła ramionami.

– W sam raz dla drużyny futbolowej – stwierdziła, patrząc na zastawiony stół.

Dzięki Bogu, pozostało w niej trochę dawnego poczucia humoru. Mark odetchnął z ulgą, bo ten żart oznaczał powrót do dawnych czasów, kiedy to, nie szczędząc złośliwości, wciąż się przekomarzali, wiedząc, że jako prawdziwi przyjaciele mogą sobie na to pozwolić.

Mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Wiesz, nigdy nie wiadomo. – Wskazał jej brzuch. – A może to będą pięcioraczki?

Chciała mu coś odpowiedzieć, ale w końcu zrezygnowała i z poczucia obowiązku sięgnęła po sztucce. Jadła wolno, jakby na nowo przyzwyczajając się do tej czynności.

– Nie masz zamiaru mi towarzyszyć? – spytała. Tak naprawdę mogła oddać mu całe swoje śniadanie.

– Nie, dziękuję. – Mark pokręcił głową. – Zjadłem już wcześniej.

– To przynajmniej nie patrz na mnie tak, jakbyś sprawdzał, czy czegoś nie wrzucam pod stół – mruknęła.

Mark zawstydził się i skinął głową. Rzeczywiście sprawdzał, czy Lauren zjada wszystko. Siegnął po gazetę, którą zaczął czytać już wcześniej. Jednak i tym razem nie mógł się skupić na wiadomościach. Rozpamiętywał rozmowę telefoniczną, zastanawiając się nad każdym jej aspektem. Nad tym, jaki wpływ będzie miała ta rozmowa na życie jego i Lauren.

Jednak co jakiś czas zerkał w stronę bratowej. Teraz, przy dziennym świetle, mógł stwierdzić, że prawie się nie zmieniła przez tych siedem lat. Była tylko szczuplejsza i słabsza, ale wciąż miała piękną cerę, a jej włosy wydawały się po umyciu jeszcze bardziej puszyste niż kiedyś. Tylko oczy Lauren się zmieniły. Dawniej błyszczały radością i wolą życia, a teraz...

Była od niego starsza, wcześniej też dojrzała i z chudzielca z poobcieranymi kolanami przekształciła się w piękną kobietę. Kiedy to się stało? Chyba wtedy, kiedy miała czternaście albo piętnaście lat. To wówczas

wydawała mu się taka dorosła. Radził się jej nawet w niektórych sprawach, chociaż wciąż stać ją było na to, by urwać się ze szkoły i wybrać z nim na jedną z tych dzikich eskapad.

Czy kochał ją wtedy?

Z perspektywy lat stwierdził, że kochał ją zawsze. Od tych pamiętnych dziesiątych urodzin, które traktował tak nieufnie, ponieważ była to pierwsza tego rodzaju uroczystość w jego życiu.

Patrząc na zadrukowane kolumny gazety, przypominał sobie wczorajszą noc, kiedy to w końcu z łazienki udało mu się wynieść Lauren. Nie była w stanie sama iść, nie rozumiała, co do niej mówił, chociaż wciąż coś mruzczała pod nosem. Najtrudniej było na schodach, bo bezwładne ciało bratowej zrobiło się nagle bardzo ciężkie. Zaczęło już świtać, kiedy w końcu znalazł jej sypialnię. Nie miał wątpliwości, że to małżeńskie gniazdko. Od razu rozpoznał styl i smak Lauren.

Nie chciał jej rozbierać, ponieważ czuł się podniecony jej bliskością, dlatego w szlafroku ułożył ją na łóżku.

Kiedy chciał odejść, Lauren wyciągnęła rękę.

– Zostań – szepnęła.

Zawahał się, wciąż trzymając ją za rękę.

– Zostań, Nate – dodała po chwili.

Puścił jej dłoń i ułożył ją delikatnie na pościeli, a następnie wstał. Mógł być dla niej Nate'em, ale na odległość. Wolał jej nie dotykać ani nie czuć jej zbyt blisko. Jednak Lauren znowu wyciągnęła dłoń, więc usiadł przy niej i pozwolił, by się do niego przytuliła.

Po chwili jej oddech się wyrównał i Lauren znieruchomiała. Mark patrzył na jej falującą pierś i czuł tuż obok miękkie ciało. Nie wiedział, jak długo przy niej siedział. Może godzinę, a może tylko piętnaście minut. W końcu zszedł na dół i położył się na kanapie w salonie.

Nie mógł jednak zasnąć. Wciąż przypominały mu się różne wydarzenia z ich życia, a zwłaszcza ta fatalna noc sprzed siedmiu lat.

Kiedy wreszcie zasnął, obudził go dzwonek telefonu. Mark natychmiast poderwał się na równe nogi. Sygnał był bardzo głośny, pewnie po to, by można go było usłyszeć na górze, bowiem Lauren w swojej sypialni nie miała aparatu.

Następną godzinę rozpamiętywał treść rozmowy telefonicznej, a następnie, zmęczony i niewyspany, zajął się śniadaniem, wiedział bowiem, że już nie zaśnie.

Lauren odsunęła od siebie talerz i spojrzała bezradnie na grzanki. Zjadła tylko jedną.

– Dziękuję – szepnęła i wstała od stołu. Do ręki wzięła kubek z sokiem.

Mark patrzył na nią. Za co mu dziękowała? Za śniadanie, czy też za to, że przyjechał? Chciał, aby chodziło o to drugie, ale oczywiście nie miał odwagi ją

o to spytać.

Zastanawiał się też, co myśli o nim Lauren po tych siedmiu latach. Czy rozumie powód jego ucieczki? Przecież prawie się nie widywali. To wtedy zyskał sobie złą sławę jako uwodziciel i straceniec. Czy rozumiała, co się za tym kryło? Czy wiedziała, że była to jeszcze jedna ucieczka?

Rozumiał, że mogła go znienawidzić, bo informacje wyczytane w pismach kobiecych z całą pewnością robiły swoje. Cóż, przecież o to mu chodziło. Więc dlaczego teraz pragnie wszystko jej wytłumaczyć?

Mark wstał i napełnił kubek resztką kawy z ekspresu. Spojrzał na grzanki, ale nie miał na nie ochoty. Wypił gorzką kawę, a następnie spojrzął na Lauren.

Czekał, trzymając kubek w dłoni. Wiedział, że musi porozmawiać z Lauren o telefonie i o rachunkach, które znalazł na biurku w salonie. Wołał jednak poczekać, aż sama zacznie mówić.

– Może zaparzę jeszcze trochę kawy? – spytał. Potrząsnęła głową.

– Mam sok.

Stała przy oknie i patrzyła na niego. Pewnie myślała, że zaraz sobie pójdzie. Gdyby w kuchni było choć odrobinę ciemniej, pewnie podszedłby do niej i wziął ją w ramiona, jak dziś w nocy. Jednak w świetle dnia wszystko wydawało się inne. Przede wszystkim musieli porozmawiać, a Mark nie miał pojęcia, od czego zacząć.

– Jak się teraz czujesz? – spytał.

– Nieźle – odrzekła z lekkim uśmiechem. – Znacznie lepiej niż wczoraj, chociaż podobno to właśnie rano powinnam mieć mdłości.

– Może pomogło ci to, że trochę zjadłeś – zauważył.

I znów cisza. I oczekiwanie, że za chwilę Mark zniknie.

– Czy chcesz, żebym poszedł? – spytał po prostu.

Lauren przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Nie chciała go obrazić... i być może była mu jednak wdzięczna za to, że przyjechał.

– Przede wszystkim chciałabym, żeby wszystko było takie, jak kiedyś – zaczęła cicho. – Żeby Nathan żył i żebyśmy nie mieli żadnych problemów.

W jej oczach pojawiły się łzy, zapanowała jednak nad sobą.

– Ale to niemożliwe, prawda? – dodała po chwili. Mark tylko ciężko westchnął. Milczenie było najlepszą odpowiedzią.

– W którym jesteś miesiącu? – spytał. – Nic po tobie nie widać.

Lauren zaśmiała się sucho.

– W czwartym – odparła. – Musiałam zająć w ciążę tuż przed wypadkiem.

– Byłeś u lekarza?

Zajrzała do wnętrza swojego kubka i wypila kolejny łyk soku.

– Tak.

– I co ci lekarz powiedział?

Tym razem jej śmiech zabrzmiał jeszcze bardziej nieprzyjemnie. Tak

jakby rady lekarza nie miały żadnego znaczenia.

– Że nie mogę się denerwować i muszę dbać o siebie i o dziecko – powiedziała w końcu.

Mark przysunął się bliżej. Przypomniał sobie, w jakim Lauren była stanie, gdy zastukał do jej drzwi.

– Nie przejmuj się – dodała szybko, jakby czytając w jego myślach. – Robię wszystko, co w mojej mocy. I naprawdę wcale się nie głodzę. Wczoraj miałam po prostu zły dzień.

Mark na razie udawał, że jej wierzy. Bał się spłoszyć Lauren, bowiem bardzo mu zależało, by dowiedzieć się o niej prawdy.

– Twoi rodzice nic nie wiedzą o ciąży, prawda? – spytał jednak.

Zagryzła wargę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nie, jeszcze nie. Nie chciałam im się pokazywać w takim stanie. Początek ciąży zawsze jest najgorszy. Bałam się, że...

– Że pomogą? – wpadł jej w słowo. – Zajmą się twoimi sprawami?

– Że mnie przytłoczą – poprawiła go. – Zawsze starali się robić wszystko za mnie.

Mark słuchał tego z przykrością. Zawsze wydawało mu się, że rodzice Lauren stanowili ideał. Może dlatego, że był sierotą, a Remingtonowie, mimo wielu prób, nigdy nie zdołali nawiązać z nim bliskich, rodzinnych kontaktów. Tylko Nate był dla niego prawdziwym bratem.

– Przecież cię kochają! – zaoponował. – W tym trudnym okresie mogliby ci bardzo pomóc.

Lauren pokręciła głową.

– Nie, nie! Mają dosyć własnych problemów! – powiedziała, zanim zdążyła pomyśleć.

Mark zastanawiał się, czy teraz ją zaatakować. Była na tyle zmieszana, że pewnie w końcu wydusiłby z niej prawdę. Uznał jednak, że Lauren sama musi zdecydować, czy i kiedy mu się zwierzy.

– A może bardziej martwi ich to, że się od nich odsunęłaś – zauważył.

Wypiła kolejny łyk soku, zastanawiając się nad odpowiedzią. Po jej minie zorientował się, że celnie trafił. Lauren, pogrążywszy się w bólu, nie pomyślała o tym, jak bardzo zraniła rodziców, prawie zrywając z nimi kontakty. Oczywiście wydawało się to bardzo egoistyczne, ale Mark nie potępiał bratowej. Dobrze poznał ten dziwny stan ducha, w jaki popada człowiek, gdy nagle znajdzie się w kompletnej pustce. Zmienia się wówczas obraz świata, obojętnieje się na innych, zapomina o najprostszych odruchach i obowiązkach. Przestaje się rozumieć, że są inne serca, które również mogą krwawić. Pograżając się w cierpieniu, pomyślał Mark, oddaliśmy się od świata i chowamy... jak w trumnie.

– Gdybyś powiedziała o ciąży, mogłabyś liczyć na pomoc rodziny swojej

i Nate'a – powiedział, świadomie unikając zaimka „mojej”.

Lauren skinęła głową.

– Wiem o tym – stwierdziła. – Oczywiście w odpowiednim czasie powiem im o tym, że spodziewam się dziecka.

Nie chciał jej pytać, kiedy nadejdzie ten „odpowiedni czas”. Wiązałoby się to z całą pewnością z grzebaniem w jej tajemnicach, a na to jeszcze nie była gotowa.

– Wkrótce już nie będziesz musiała niczego mówić – zauważył z lekkim uśmiechem – lepiej więc kup sobie jakieś luźne sukienki.

Zignorowała jego próbę zmiany nastroju, być może nawet jej nie zauważyła, i tylko szepnęła:

– Proszę, daj mi jeszcze trochę czasu.

Mark westchnął. Zaczynał powoli rozumieć, że nie nadaje się do roli, jaką próbował odegrać. W obecnym stanie ducha Lauren potrzebowała Nate'a... to znaczy kogoś, kto byłby do niego podobny. Spokojny, czuły i obdarzony tym rodzajem współczucia, które pozwala zrozumieć innych, a nie tylko się nad nimi lituje. Potrzebowała kogoś, kto nie tylko sercem, ale i rozumem potrafiłby przeniknąć jej ból oraz zapewnić poczucie bezpieczeństwa, przywrócić wiarę w siebie i natchnął nadzieję.

Nie można już było naprawić tego, co popsulo się siedem lat temu. Lauren mu nie ufała. Tak się jednak złożyło, że to właśnie on poznał jej sekret, musi więc doprowadzić całą sprawę do końca.

Mark rozejrzał się po kuchni i stwierdził, że powinien trochę sprzątnąć. Już wcześniej rzuciły mu się w oczy brudne naczynia stojące w zlewie, jak również kosz, z którego aż wylewały się śmieci.

– Dobrze, powinnaś teraz trochę odpocząć – stwierdził. Lauren pokręciła głową.

– Chyba już czas na ciebie, Mark – powiedziała. Zrobił zdziwioną minę, jakby ta uwaga naprawdę go zaskoczyła.

– Jestem wolnym człowiekiem. Nie mam żadnych obowiązków – poinformował ją. – Zostanę u ciebie jeszcze trochę, jeśli pozwolisz.

Chciała zaprotestować, lecz nie miała na to siły, tylko ciężko usiadła przy kuchennym stole. Natomiast Mark, mimo niewyspania, wprost tryskał energią. Powkładał brudne naczynia do zmywarki, zamiótł podłogę i wyszedł na zewnątrz, by wyrzucić śmieci. Przechodząc obok ogródka, zauważył, jak bardzo jest zapuszczony, i pomyślał, że dobrze byłoby przynajmniej skosić trawę, o ile da się to jeszcze zrobić kosiarką.

Lauren siedziała przy stole, zastanawiając się, czy Mark pojechał już do siebie. Na pewno to zrobił. Przecież zawsze w końcu wyjeżdżał i nigdy nie wracał. Taki już był od dzieciństwa. Ona też spotkała go przypadkowo, kiedy

uciekł z domu. Ucieczki po prostu były jego żywiołem.

W szklance nie było już soku, lecz mimo iż chciało jej się pić, nie potrafiła się zmusić, by wstać i napełnić kubek.

Zastanawiała się, czy Mark opowie jej rodzicom o dziecku. Mama na pewno do niego zadzwoni, by dowiedzieć się, jak mu poszło, a on z dumą w głosie najpierw się pochwali, jak wmusił w Lauren śniadanie, a potem wypaple całą historię jej ciąży.

Potrząsnęła głową. Nie, Mark tego nie zrobi. Zawsze był lojalny wobec niej, a przecież prosiła go, by nic nie mówił rodzicom. Pewnie będzie czekał, aż sama to zrobi.

Na szczęście nie powiedziała mu wszystkiego, chociaż była tego już bardzo bliska. Gdyby poznał całą prawdę, na pewno próbowałby coś z tym zrobić.

Łzy popłynęły jej po policzkach.

– Jak mogłeś mi to zrobić, Nate? – szepnęła do siebie. – Jak mogłeś zrobić to swojemu dziecku?

Położyła dłoń na brzuchu, czując, że strach znów zapanował nad jej ciałem. Chciało jej się wymiotować, lecz wiedziała, że tym razem nie jest to przykry objaw ciąży. Po prostu jej organizm już nie wytrzymał ogromnego napięcia psychicznego.

Zaczęła głęboko oddychać, by się uspokoić.

I właśnie w tym momencie usłyszała silnik spalinowej kosiarki. Kto to może być? Czyżby...?

Wstała i podeszła do okna. Tak, to był Mark, który jak gdyby nigdy nie kosił trawę w ogrodzie.

Dlaczego sobie nie poszedł? Przecież dała mu wyraźnie do zrozumienia, że chce zostać sama. Chociaż z drugiej strony miała nadzieję, że Mark się o nią zatroszczy...

Potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek. Ciężar, który dźwigała, okazał się dla niej zbyt wielki.

Mark radził sobie zupełnie nieźle z kosiarką. Nigdy nie sądziła, że zobaczy go przy tak prozaicznej czynności. Przecież był nieokiełznanym buntownikiem, samotnym mężczyzną skłóconym ze światem, a nie zwykłym domatorem dbającym o swój ogródek.

Przerwał na chwilę pracę, by podrapać za uchem kota sąsiadów. Tygrys najpierw otarł się o nogę Marka, a następnie zaczął się do niego łąsić.

Czując gwałtowne ukłucie w sercu, Lauren wyszła na zewnątrz. Ponieważ Mark znowu zabrał się do koszenia, przysiadła na drewnianym ganku. Wystraszony warkotem kosiarki Tygrys odskoczył i teraz z kolei zaczął się łąsić do Lauren. Wzięła go na kolana i zaczęła gładzić miękkie futerko, a potem, zmrużywszy oczy w ostrym słońcu, spojrzała na Marka.

Przez moment wydawało jej się, że obserwuje Nate'a, bowiem Mark zachowywał się bardzo podobnie. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że Remingtonowie najpierw adoptowali Nate'a, a Mark był zapatrzony w swojego starszego brata. Naśladował jego gesty i sposób ubierania się, wręcz upodobił się do niego.

Jednak to wrażenie mijało, gdy poznawało się ich bliżej. Ponieważ Nate od niemowlęctwa otoczony był rodzicielską miłością, cechowały go wewnętrzny spokój i naturalna pewność siebie. Nigdy przy tym nie czuł potrzeby, by zwracać na siebie uwagę, był raczej cichy i spokojny. Natomiast Mark zawsze starał się być duszą towarzystwa. Najgłośniej śmiał się i krzyczał oraz zawsze pierwszy zaczynał zabawę i ostatni ją kończył. Jednak pod tym wszystkim kryła się głęboka obawa, że zostanie odrzucony.

Nigdy też w pełni nie zaufała Remingtonom i nie potrafiła odwzajemnić ich prostej, szczerzej miłości. Czasami bez powodu, jak jej się wówczas wydawało, uciekał od nich, a potem wracał skruszony, ale wciąż taki sam. Rozdygotany wewnętrznie, niespokojny. Lauren dostrzegła to, lecz nie zrozumiała tego nigdy.

A teraz sama miała ochotę uciec.

Rozejrzała się po ogrodzie, w którym spędzili z Nate'em tak wiele miłych chwil, i pomyślała, że już wkrótce będzie musiała się stąd wyprowadzić. Niechciana łza potoczyła się po jej policzku i spadła wprost na futro mruczącego Tygrysa.

– No, zmykaj! Czas na ciebie – powiedziała, stawiając kota na ścieżce.

Mark podszedł do niej i wyłączył kosiarkę.

– Chyba teraz będzie lepiej? Bardzo tu ładnie – zauważył.

– Tak, będę tęsknić za tym domem i ogrodem – wyrwało jej się, zanim zdążyła zapanować nad emocjami.

Mark spojrzał na nią ze zdziwieniem. Przez chwilę patrzyła na ziemię, unikając jego wzroku.

– Nie zostaniesz tutaj? – spytał.

Spojrzała na Tygrysa, który jednym susem wskoczył na drewniane ogrodzenie. Skoro już zaczęła ten temat, powinna jakoś wyjaśnić swoją decyzję. Tylko, na miłość boską, nie może mówić o pieniądzach.

– To było nasze miejsce... – zaczęła niepewnie. – Moje i Nate'a. Nie mogłabym mieszkać tu sama.

Mark słuchał jej uważnie.

– Gdzie się przeprowadzisz? – spytał. Zerwała rosnącą nieopodal trawkę.

– Sama nie wiem. Może znajdę jakieś mieszkanie bliżej szkoły – odparła po chwili.

Za tydzień miała zacząć warsztaty związane z planem na przyszły rok. Zawsze lubiła uczyć, ale w tej chwili nie cieszyła jej nawet perspektywa

spotkania ze „swoimi” dziećmi.

– Nate był ubezpieczony, prawda? – Mark szybko zmienił temat.

Lauren wstała i podeszła do rabatki, na której rosły jej ulubione lilie. Z przyjemnością dotknęła ich śnieżnych płatków.

– Chyba wykupiliście polisy na życie? – nie ustępował. W odpowiedzi Lauren tylko wzruszyła ramionami.

– To nie twoja sprawa. Potrząsnął głową.

– Moja. Nate był moim bratem.

Chciała powiedzieć, że tylko przyszywanym, ale szczęśliwie w porę się powstrzymała, bowiem Mark był bardzo drażliwy na tym punkcie.

– Tak, oczywiście. Nate był ubezpieczony – zapewniła go pospiesznie.

– To dlaczego dzwonią do ciebie z banku i żądają pieniędzy? – spytał, kładąc ręce na biodra.

Odwróciła się od lilii i pobladła, a ręce jej drżały. Przez moment myślała, że się rozplacze, ale tylko zacisnęła zęby.

– Odebrałeś telefon? – spytała drżącym głosem.

Mark zaklął w duchu. Niepotrzebnie pospieszył się, a powinien, jak to początkowo planował, zaczekać na zwierzenia Lauren.

– Nie chciałem, żeby cię obudził – usprawiedliwił się. – Spytałem tylko, czy ci coś przekazać. Dzwonił niejaki Bruce z twojego banku. Chodziło mu o spłatę hipoteki i inne sprawy. Powiedziałem, że się z nim skontaktujesz.

Lauren z oburzeniem potrząsnęła głową.

– Nie miałeś prawa!

Odepchnął kosiarkę i zbliżył się do bratowej.

– To jeszcze nie wszystko – powiedział, zdecydowany doprowadzić tę rozmowę do końca. – Przejrzałem też twoje rachunki, które leżały na biurku. Mogłabyś nimi napalić w kominku.

Jeszcze przez chwilę na jej twarzy malował się gniew, lecz nagle Lauren bezsilnie opadła w nagłej rezygnacji, a łzy pociekły jej po policzkach. Płakała, nie dbając o to, że mogą ją zobaczyć sąsiedzi.

– Lauren, co się stało?!

Milczała, starając się dumnie unieść głowę. Wciąż płakała, ale już była spokojna. Chciała do końca pozostać lojalna wobec zmarłego męża. Czy również Mark nie powinien tak postępować? pomyślała. Chodzi przecież o jego brata...

Mark z trudem panował nad swoją ciekawością. Domyślał się, że cała sprawa ma związek z Nate'em. Zapewne sam prowadził wszystkie sprawy finansowe i z całą pewnością się nie ubezpieczył. Ale to jeszcze nie powinno spowodować katastrofy finansowej, a z tego, co usłyszał przez telefon i zobaczył na biurku, jasno wynikało, że Lauren jest zadłużona po uszy.

Co się stało? Czyżby Nate ją zawiódł? Mark zacisnął pięści.

– Powiedz, co to wszystko znaczy? – poprosił. – Nic z tego nie rozumiem.

W obronnym geście Lauren objęła się rękami i spojrzała na Marka oczami pełnymi łez, smutku i beznadziei.

– Ja też, Mark – szepnęła.

Patrzył na nią z niedowierzaniem. Czyżby w dalszym ciągu zamierzała bawić się z nim w kotka i w myszkę?

– Co to znaczy?

Po bladym policzku spłynęła samotna łza. Widział, jak Lauren ze wszystkich sił stara się nad zapanować nad sobą, lecz zupełnie jej się to nie udawało. Była coraz bardziej słaba i zrozpaczona.

– Uwierz, nie rozumiem, co się stało – wyznała żałośnie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

„W gazetach często pisano, że jestem bohaterem. Teraz wiem, że nim nie jestem. A zwłaszcza w oczach Lauren”.

(Fragment z pamiętnika Marka Remingtona)

Na szczęście przed wyjazdem Mark przypomniał sobie starą skautowską zasadę, że trzeba być przygotowanym na wszystko, i wziął ze sobą torbę podróżną. Dzięki temu, przeprosiwszy na chwilę Lauren, mógł teraz pójść do łazienki, by ogolić się i przebrać.

Kiedy zszedł na dół w czystej koszulce i dżinsach, zastał bratową w kuchni. Od razu rzucił mu się w oczy wyraz dumy, który zagościł na jej twarzy. Lauren najwyraźniej doszła do siebie i postanowiła działać sama.

Mark nie chciał już niczego przed nią ukrywać, ani też niczego robić za jej plecami, jednak nie wiedział, czy to, co sobie zaplanował, będzie zgodne z intencjami bratowej.

– Usiądź – poprosił. – Musimy porozmawiać. Pokręciła przecząco głową.

– Chciałam ci przypomnieć, że to nie są twoje sprawy – powiedziała spokojnie. – Sama sobie poradzę.

Mark z radością stwierdził, że Lauren odzyskała trochę dawnej energii, a co najważniejsze, nie reagowała już na wszystko płaczem. Teraz jednak bał się przede wszystkim siebie: czy to, co za chwilę powie, nie będzie przez Lauren źle odebrane? Czy stać go na to, by mimo najlepszych intencji, nie zdezerterować w najważniejszej chwili? Jak to miał w zwyczaju...

– Pamiętaj, że Nate był moim bratem – oświadczył stanowczo. – Należę więc do rodziny. Chcę ci pomóc, choćby ze względu na dziecko. Jestem w końcu jego wujem – dodał z uśmiechem.

Lauren zachowała kamienny wyraz twarzy, spoglądając chłodno na Marka, który jednak nie dał się zbić z pantałyku.

– Usiądź, proszę – powiedział. – Naprawdę nie ustąpię. Czuł się jak jakiś cholerny gliniarz, prowadzący śledztwo w bardzo skomplikowanej sprawie. Na szczęście Lauren nie płakała i nie robiła scen, tylko spokojnym, beznamiętnym głosem przekazała mu wszystkie potrzebne informacje, które Mark stopniowo dopasowywał do siebie jak puzzle. Lauren nie kłamała, mówiąc, że Nate wykupił polisę na życie, tyle że wykorzystał ją jako zastaw pod pożyczkę bankową. W konsekwencji jego żona nie tylko nie otrzymała żadnych pieniędzy, ale musiała jeszcze sporo wyłożyć na spłatę długu.

– A odszkodowanie od tego kierowcy, który spowodował wypadek? – dopytywał się Mark.

– To był jego trzeci wypadek. Nie ma żadnego majątku i nie wykupił

polisy OC – odparła. – Na szczęście wsadzili go do więzienia, więc przynajmniej przez jakiś czas nikogo nie zabije. Mogłabym się z nim sądzić, ale po co? Zresztą nie mam na to siły.

Przełamując wewnętrzne opory, zabrał ją po południu do banku. Okazało się, że jest jeszcze gorzej, niż myślała sama Lauren. Tkwiła po uszy w długach i praktycznie nie było sposobu, aby je spłacić.

Wyszła na zewnątrz z opuszczoną głową i żalną miną, a gdy wrócili do domu, bezwładnie padła na sofę. Wszystko to ją przerosło, pomyślał Mark. Dlatego się poddała. Ale czy mogła zareagować inaczej? Dług Nate'a był przerażająco wielki...

Mark w desperackim odruchu nalał sobie całą szklaneczkę brandy i wypił ją jednym haustem.

– Tylko proszę, nie mów nic moim rodzicom. I swoim też. Mają dosyć zmartwień – jęknęła Lauren. – Muszę sama znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Nie chcę, żeby się przejmowali moimi sprawami.

W porządku, pomyślał Mark, ja się nimi zajmę. Ogarniała go coraz większa złość na zmarłego brata, który naraził na nędzę swoją żonę i nie narodzone jeszcze dziecko. Szybko wypił następną szklaneczkę brandy.

– Naprawdę nie wiedziałaś o kłopotach Nate'a? – spytał, zamykając barek.

Głęboko westchnęła i pokręciła głową.

– Rachunki zaczęły się pojawiać dopiero po jego pogrzebie – odparła. – Nate zawsze sam zajmował się finansami. Wiedziałam tylko tyle, że płacił rachunki i inwestował.

To właśnie inwestycje Nate'a okazały się zgubne. Zamiast nabyć pakiet bezpiecznych akcji, polecanych drobnym inwestorom, zdecydował się na ryzykowne zakupy. Trzy z czterech przedsięwzięć, w które zainwestował, nie wypaliły, i dlatego pograżył się w długach.

– Nic nie rozumiem – powiedział Mark, kręcąc głową. – Nate zawsze był taki rozsądny.

Lauren skrzywiła się i spojrzała na Marka, lecz potem tylko machnęła ręką i spuściła głowę.

– Co chciałaś powiedzieć? – spytał szybko. Zaczerwieniła się i szepnęła:

– Nic ważnego.

Zapadło milczenie. Mój Boże, pomyślał Mark, czyżbym zupełnie nie znał Nate'a, mojego brata... i najlepszego, jedyne kumpla? Był moim idolem. Naśladowałem go... chcąc być od niego lepszym... wygrywałem wyścigi i zdobywałem najpiękniejsze kobiety. Ale i tak Nate był dla mnie niedościgłym wzorem. To ja zawsze byłem ten gorszy, nieodpowiedzialny, szalony...

– Lauren, musisz mi powiedzieć.

– Jakie to ma znaczenie... teraz...

– A kiedyś? Dawniej? Gdy Nate jeszcze żył? – nalegał. Złożyła ręce na piersiach i spojrzała w bok, zamykając się w sobie. Jednak po chwili usłyszał jej cichy, drżący głos:

– Nalegasz tak bardzo, więc dobrze, powiem ci. Nate bardzo ci zazdrościł.
– Komu? Mnie?!

W oczach Lauren pojawił się gniew.

– A co ty sobie myślisz?! Czy nie takiej odpowiedzi oczekiwałeś?!

Bezradnie potrząsnął głową. Trudno mu było sobie wyobrazić, że ktoś, kto prowadził tak miłe i spokojne życie, mógł mu czegoś zazdrościć.

– Nate zazdrościł ci sukcesów i pieniędzy – ciągnęła Lauren. – Jednak nie tylko tego. Bolało go jeszcze to, że po naszym ślubie prawie się z nim nie kontaktowałeś. Mógł tylko śledzić twoją karierę w prasie i telewizji.

– Lauren, przecież... – Nie dokończył. Oboje dobrze wiedzieli, że nic tu nie było do wyjaśniania.

– Myślę, że aby ci dorównać, Nate zaczął ryzykownie inwestować – powiedziała po chwili. – Nie chodziło mu tylko o pieniądze, ale również o podjęcie niebezpiecznego wyzwania. Tak jak nieustannie robiłeś to ty.

Mark słuchał tego z niedowierzaniem. Wprost nie mieściło mu się w głowie, że cichy, spokojny i rozsądny Nate, w którego zawsze był zapatrzony, mógł zrobić coś równie szalonego. Co więcej, nie potrafił zrozumieć, jak mógł stanowić dla niego wzór. Przecież przez całe dzieciństwo to właśnie on, Mark, naśladował swojego starszego brata.

– Jakie to dziwne – powiedział do siebie. Lauren pokręciła głową.

– Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale właśnie to go zniszczyło. I nie tylko jego... – westchnęła ciężko.

Miała rację. Nate chciał się szybko wzbogacić, rywalizując z Markiem, i w ten sposób spowodował katastrofę nie tylko swoją, ale całej swojej rodziny. Gdy to zrozumiał, zapewne załamał się i być może podświadomie szukał śmierci.

– W dzieciństwie Nate zawsze był dla mnie wzorem – dodał Mark.

– A potem role się odwróciły, bo to ty zostałeś bohaterem – powiedziała z ironią. – Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby nie wywołało to takich skutków. Twoja sława objawiała się w najgorszy dla Nate'a sposób.

Chciał spytać, w jaki, ale domyślił się, że odpowiedź mogłaby być dla niego zbyt bolesna. Czy jednak zasłużył na aż tak gorzkie słowa? Lauren obwiniła go o niefortunną działalność finansową brata i o jego śmierć, a przecież Mark nawet nie domyślał się, że miał aż tak wielki wpływ na Nate'a i na jego rodzinę.

– Nigdy nie byłem bohaterem – rzekł, potrząsając głową. Uniosła głowę i przeszyła go ironicznym spojrzeniem.

– Naprawdę?

– No, jasne!

– A teraz kogo odgrywasz? Przecież przyjechałeś tutaj, aby mnie ratować. Czyż nie?!

Z coraz większym trudem znosił jej sarkazm. Nie miał ochoty ingerować w niczyje życie ani tym bardziej nikogo ratować, tak się jednak złożyło, że przypadkowo dowiedział się o kłopotach bratowej i, ponaglany przez jej rodziców, próbował pomóc Lauren.

– Przyjechałem tylko po to, by się dowiedzieć, co się z tobą dzieje – sprostował.

– I co? Myślisz, że możesz zmienić przeszłość?! To, że odciąłeś się od rodziny?! Od brata, który cię kochał?!

Mark poczuł nagły płomień, który zapalił się w jego piersi. Skoro Lauren zdecydowała się wywlekać dawne sprawy, poczuł, że również on ma prawo do bolesnej szczerości i do ujawnienia swoich motywacji, tym bardziej że bratowa powinna się ich przynajmniej domyślać.

– A chciałabyś, żebym do was przyjeżdżał?! – spytał gniewnie. – Żebyśmy mogli wspominać to, co wydarzyło się tamtej nocy?! Za którą zresztą tylko ja ponoszę pełną odpowiedzialność... Chciałabyś, żebym oszukiwał brata?!

Lauren pobladła jeszcze bardziej.

– Przecież nic się nie zdarzyło – powiedziała, wiedząc, że kłamie. – Nic, zupełnie nic.

Przysunął się z krzesłem w jej stronę. Wyraz jej twarzy powiedział mu, że nie tylko on cierpiał z powodu przeszłości. Pomyślał, że Lauren musiała przez te wszystkie lata oszukiwać samą siebie. Czy jednak robiła to skutecznie?

– Byłam dobrą żoną – ciągnęła. – Kochałam Nate'a. Zelektryzował go ton jej głosu. Lauren mówiła jak osoba, która odpiera ciężkie zarzuty, chociaż Mark o nic jej nie obwinał, a to oznaczało jedno: sama oskarżała siebie. Musiała mieć wyrzuty sumienia z powodu tego, co się stało. Podobnie jak on. Mark zagłuszał je na torach wyścigowych, a ona tłumiała je, wcielając się w rolę idealnej żony.

Uśmiechnął się smutno. Gdyby wiedział, jakie skutki wywoła ich nocna wycieczka, nigdy by do niej nie dopuścił...

– Ja też go kochałem – stwierdził – i właśnie dlatego trzymałem się od was z daleka. Powinnaś to zrozumieć.

Milczeli przez chwilę. Mark nigdy jeszcze nie był w tak emocjonalnie i życiowo skomplikowanej sytuacji. Żałował, że w ogóle tu przyjechał, ale zarazem obwinał się, że nie pojawił się u Lauren wcześniej.

Czy rzeczywiście odgrywał rolę szlachetnego bohatera i wybawcy? Czy powodowało nim tylko próżne samochwalstwo, o co tak naprawdę oskarżała go bratowa? Być może. Chciał uchronić Lauren przed procesami, pragnął, by w spokoju urodziła i wychowała dziecko Nate'a. Ale jakie były jego prawdziwe, najgłębsze motywacje?

Dobrze, pomyślał z masochistycznym okrucieństwem, przynajmniej przed sobą mogę być do końca szczery. Czyżbym pragnął, by Lauren mnie pokochała? Oblał się zimnym potem. Mój Boże, czyżby był aż tak podły i bezduszny? Przecież Nate zmarł zaledwie trzy miesiące temu!

Otrząsnął się. Nie, nie będzie walczył o uczucia Lauren, nie o to w tym chodzi. Musi przede wszystkim zająć się jej finansami. To przecież jego obowiązek, z którym powinien się sam uporać.

Spojrzał na wymizernowaną twarz Lauren. I nagle znalazł proste i logiczne rozwiązanie. Zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli wprowadzi je w życie, Lauren znienawidzi go jeszcze bardziej.

Czy powinien więc tak postąpić?

Być może nie, ale nie widział innego wyjścia z sytuacji.

– Chyba nie mówisz tego poważnie – stwierdziła bratowa, kiedy już wyłuszczył jej swój plan.

Spodziewał się takiej reakcji, ale nie ustępował.

– Nate był moim bratem i nie ma w tym nic dziwnego, że chcę spłacić jego długi. Lauren, wiem, że to dla ciebie trudne, ale jeśli przyjmiesz moją propozycję, wcale nie staniesz się z kolei moją dłużniczką, tylko wszystko zawiązką odpracujesz. Podpisałem z wydawnictwem umowę na moje wspomnienia, a do tej pory zdołałem je zaledwie naszkicować. Masz zdolności literackie i znasz mnie od dziecka, więc będziesz mi bardzo pomocna. Tę książkę napiszemy wspólnie, ja dostarczę materiały, a ty zajmiesz się kompozycją treści i stylem. To uczciwa propozycja. Nie dostaniesz niczego za darmo.

Chodziło o to, by nie urazić jej dumy, o co przy charakterze bratowej nie było trudno. Wiedział, że Lauren za nic nie przyjmie jałmużny.

Jednak wciąż się opierała.

– Musiałabym przeprowadzić się do ciebie, a ty masz przecież swoje życie...

– W Sunrise będzie nam wygodniej pracować. Mam tam wszystkie materiały. Z łatwością pomieścimy się w moim domu, a poza tym twoi rodzice tęsknią za tobą – przekonywał Mark. – Od kiedy przeprowadziłaś się do San Francisco, rzadko się widujecie, a gdybyś znowu zamieszkała w Południowej Kalifornii, moglibyście spotykać się częściej.

– A moja praca? Mark rozłożył ręce.

– I tak musiałabyś ją przerwać – stwierdził. – Po prostu weźmiesz urlop.

Lauren wiedziała, że szkoła nie powinna czynić trudności, bowiem zawsze ktoś mógł przejąć jej obowiązki. Może nawet lepiej, jeśli stanie się to teraz, a nie pod koniec roku.

– Później łatwo znajdziesz u nas jakiś etat – natychmiast dodał Mark – bo

wciąż brakuje nauczycieli. Okazuje się, że to ciężka praca.

Nie ciężka, ale wymagająca cierpliwości i oddania, pomyślała Lauren. Czy to możliwe, żeby te cechy były coraz rzadsze we współczesnym świecie?

Westchnęła i rozejrzała się dokoła. Niełatwo będzie jej opuścić ten dom, w którym przeżyła tyle szczęśliwych lat, nie miała jednak wyboru. I tak musi sprzedać wszystko, co ma, lecz to nie wystarczy na spłacenie wszystkich długów, dlatego propozycja Marka wydawała jej się nadzwyczaj sensowna. Oczywiście nie weźmie od niego pieniędzy, ale je pożyczy. Będą mogli nawet spisać umowę u notariusza.

Spojrzała na Marka, który czekał na odpowiedź. Rozumiała jego intencje. Chciał w ten sposób naprawić swoje błędy. Nieufność do Remingtonów, nielojalność wobec brata... i być może wiele innych, o których nie miała pojęcia.

Czy powinna mu na to pozwolić?

Wciąż się wahała. Bała się przeprowadzki do Sunrise Ranch i codziennych kontaktów z Markiem, zarówno z powodu wciąż nie zatartego wspomnienia nocy sprzed siedmiu lat, jak i w obawie, że będą się ciągle kłócić.

Narastająca cisza była trudna do zniesienia. Mark bał się, że Lauren za chwilę powie „nie”, dlatego przypuścił końcowy atak:

– Pomyśl o dziecku. Będiesz miała dosyć czasu, by odpocząć i przygotować się do macierzyństwa. Przecież nie można tak żyć, ciągle się zamartwiając.

A jednak można, pomyślała, od trzech miesięcy nic innego nie robię. Jednak wiedziała, że Mark ma całkowitą rację. Tak naprawdę liczy się tylko przyszłość maleństwa.

– W moim życiu wszystko, co dobre, otrzymałem od Nate’a, Remingtonów i... ciebie – powiedział w końcu Mark z rozbijającą szczerością.
– Nigdy nie spłaciłem długu, który zaciągnąłem. Pozwól mi, abym zrobił to teraz.

– Mark, to nie był dług – rzekła z westchnieniem.

– Nieważne, jak to nazwiemy. Chcę się odwdziżyć. – Wyciągnął dłoń, nie pozwalając, by Lauren mu przerwała. – Tak, wiem, nie musisz mówić, że nie ma takiej potrzeby. Ale skoro mogę, to chcę ci pomóc. Dla mnie to i tak niewielka suma – dodał po chwili.

– Ty chyba żartujesz?! – prawie krzyknęła. – Przecież wiesz, o jaką kwotę chodzi. Oczywiście oddam ci to, co otrzymam ze sprzedaży domu, ale to tylko drobna część całego długu.

– To naprawdę nic wielkiego.

– Chcesz powiedzieć, że aż tyle zarobiłeś na wyścigach?

– spytała ze zdziwieniem Lauren. – Słyszałam, że stawki są wysokie, ale nie wiedziałam, że aż tak.

Uśmiechnął się i dotknął delikatnie jej dłoni.

– Ja również inwestowałem – poinformował ją – i to bardzo fortunnie, jak na straceńca. Słyszałaś o firmie Apostle?

Skinęła głową. Nate kiedyś wspominał, że to druga co do wielkości firma komputerowa, która w rankingach plasowała się zaraz za Microsoftem Billa Gatesa.

– Masz ich akcje? – spytała, jeszcze nie bardzo mu wierząc.

– Ponad trzydzieści procent. Też ryzykowałem, bo nie zależało mi na forsie, ale dopisało mi szczęście.

– Nie miałam pojęcia... – Lauren była wyraźnie poruszona.

– Ale skoro już wiesz, możesz bez oporów przyjąć moją propozycję.

– Spróbuję ci wszystko zwrócić – powiedziała, akceptując w ten sposób jego ofertę.

– Nie musisz – wtrącił natychmiast. – Będziesz mogła zrewanżować się inaczej.

Spojrzała na niego czujnie. Nareszcie się zdradził, a ona przejrzała jego intencje.

– Czy... Czy chodzi ci o seks? – spytała z obawą. Zdumienie Marka nie miało granic.

– Lauren, przecież spędziliśmy razem całe dzieciństwo! Gwałtownie wstał i podszedł do okna.

– Przepraszam, nie chciałam...

– Ależ chciałaś – przerwał jej. – I może nawet na to zasługuję, po tych różnych skandalach, o których pewnie czytałaś w prasie. Pozwól jednak, że o czymś ci przypomnę: chodziło mi o książkę.

W odpowiedzi Lauren skinęła tylko głową.

– Ale oczywiście nie ona jest najważniejsza – ciągnął Mark. – Przede wszystkim zależy mi na dobru dziecka. To ono będzie płacić przez całe życie za błędy, które teraz popełnisz.

Lauren obronnym gestem położyła rękę na brzuchu, a Mark poczuł nagłe ukłucie w sercu.

– I jak, zgadzasz się? – zapytał oficjalnie.

Milczała i tylko to mogła zrobić. Czuła się jak zwierzątko, schwytane przez drapieżnika, który jednak elegancko pyta: „mam cię pożreć, czy puścić?”.

– Pozwól mi udowodnić, że kochałem brata – poprosił. – Jeśli nawet on miał wątpliwości, nie chcę, żebyś ty je miała.

Wciąż milczała. Mark wiedział, że nie może jej powiedzieć o swoim uczuciu, bo byłby to koniec ich znajomości. A przecież Lauren powinna przede wszystkim dbać o siebie i dziecko.

– Dobrze, zaczekam na twoją decyzję do jutra rana – powiedział.

Pomyślała, że i tak nie ma wyboru. Mogła mu udzielić odpowiedzi choćby w tej chwili, tylko nie chciała dać mu takiej satysfakcji.

– I pamiętaj, że jeśli się nie zgodzisz, to będę musiał powiedzieć o wszystkim twoim rodzicom – dodał po chwili namysłu. – Wzięłaś na swoje barki zbyt wielki ciężar, niemożliwy do udźwignięcia.

Lauren spojrzała na niego kpiąco. A więc na koniec mały szantażyk, pomyślała.

– Dobrze, zastanowię się – obiecała.

Mark obawiał się, że zbyt gwałtownie ingeruje w prywatność Lauren, jednak zmuszała go do tego nadzwyczajna sytuacja. Mimo to czuł duży niesmak.

Wstał i wyszedł do ogrodu, a przez resztę dnia unikał Lauren. Noc znów spędził na dole, lecz prawie nie zmrużył oka, nerwowo rozmyślając, czy bratowa przyjmie jego propozycję.

Kiedy zobaczył rano Lauren, była zrezygnowana i zmęczona. Miała cienie pod oczami, co świadczyło, że również niewiele spała.

– Dobrze – powiedziała.

Dojeżdżali do Sunrise. Mark pomyślał, że coraz rzadziej i niechętniej opuszcza to miejsce. Czy to możliwe, że on, który zjeździł prawie cały świat, zmienia się w domatora?

Prawie dwa tygodnie zajęło im uporządkowanie wszystkich spraw w San Francisco, lecz dzięki temu Lauren wyjeżdżała z poczuciem, że sytuacja zaczyna się powoli klarować.

Opuszczenie domu było dla niej dużym przeżyciem, zegnała bowiem bardzo ważny etap swego życia. Zostawiała to, co znajome i pewne, i nie wiedziała, co zdarzy się na Sunrise Ranch. Oraz czy Mark naprawdę jej pomoże...

Wzięła ze sobą tylko parę rzeczy i kilka ubrań, resztę miało sprzedać biuro nieruchomości. Agent powiedział im, że dzięki temu cena będzie wyższa.

Przed wyjazdem, na prośbę Marka, Lauren zadzwoniła do rodziców i zaprosiła ich do siebie, do San Francisco. W czasie długiej rozmowy, w czasie której wszyscy się popłakali, poinformowała ich o dziecku i o planach przeprowadzki. Nie wspomniała tylko o pieniądzech.

Zaraz po wizycie rodziców ruszyli do Sunrise Ranch. Lauren zbierała się niechętnie, celowo przedłużając wszystkie czynności, a on cierpliwie czekał, rozumiejąc, jak trudne dla niej są te chwile.

Jednak teraz, gdy wjechali na teren posiadłości Marka, dosłownie zaparło jej dech z wrażenia. Przez moment w milczeniu podziwiała Sunrise Ranch.

– Ależ tu pięknie! – w końcu wydusiła z siebie.

Tylko skinął ze zrozumieniem głową. On także zareagował podobnie, kiedy był tu po raz pierwszy. Malownicze zabudowania położone były wśród gór przechodzących w zielone wzgórza. Cała okolica tchnęła majestatycznym

pięknem i odwiecznym spokojem.

Urzekła go też historia tego miejsca i szczerze żałował, że zubożała rodzina musiała w końcu sprzedać Sunrise, gdzie mieszkała od tak dawna. Mark obiecał seniorowi rodu, że nie będzie wprowadzał poważnych zmian i zachowa stare budynki w jak najlepszym stanie, tak, by mogły z nich korzystać przyszłe pokolenia.

Na przykład dziecko Nate'a, pomyślał.

Przez chwilę jechał wolno, by Lauren mogła nacieszyć się widokiem, a następnie wcisnął pedał gazu. Do domu zostało im jeszcze półtora kilometra.

Na miejscu czekały na Lauren same niespodzianki, tak że nawet udało jej się zapomnieć o swoim nieszczęściu. Przynajmniej o wszystkim oczarował ją ponadstuletni, świeżo odrestaurowany dom. W starych pomieszczeniach znajdowały się wspaniałe skórzane meble, stylowe łazienki, cudowne wnętrza.

Na zewnątrz, jakieś pięćdziesiąt metrów od domu, zaczynał się ogród, porośnięty krzakami i wielkimi starymi drzewami. Trawa miała intensywnie zielony kolor, jaki do tej pory Lauren widziała jedynie na ilustracjach w książkach. W trawie wylegiwały się wielkie, łagodne psy.

Nieco dalej, po prawej stronie domu, zaczynały się zabudowania gospodarcze, gdzie Lauren natychmiast zauważyła kilku kowboi i nie ujeżdżone konie hasające po pastwisku. Klacze ze źrebakami pasły się na innej, specjalnie wydzielonej łące.

Lauren patrzyła na to wszystko z rosnącym zdziwieniem. Sądziła, że takie miejsca można oglądać już tylko w kinie. Pomyślała, że przyjemnie będzie poznawać tę piękną okolicę. Od dzieciństwa uwielbiała spacerować i rowerowe wycieczki, a Mark dzielił z nią tę pasję, nic więc dziwnego, że kupił sobie tak olbrzymią posiadłość.

Najbardziej urzekły ją liczne fontanny i sztuczne wodospady, zbudowane ze skał zwiezionych z gór. Okna jej pokoju z łazienką wychodziły właśnie na jedną z takich fontann, przy której rozpościerało się sztuczne jezioro z krystalicznie czystą wodą.

Lauren stanęła przy oknie, zastanawiając się, ile tygodni, a może miesięcy, będzie mogła podziwiać ten piękny widok. Mark, który przyniósł jej bagaże, stanął obok.

– To powinno ci na razie wystarczyć – powiedział, kładąc na łóżku jej walizeczkę. – Potem pomyślimy o czymś innym. Wyglądasz na zmęczoną podróżą. Teraz odpocznij, chyba że jesteś głodna.

Lauren potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję. Na razie chcę się nasycić tym widokiem. – Wskazała za okno.

– Cieszę się, że ci się podoba. „Podoba” nie było właściwym słowem.

– Jest tutaj tak pięknie!

Dopiero teraz zaczęło do niej docierać, na co się zgodziła. Pomyślała, że już nigdy nie wróci do San Francisco. Ten okres w jej życiu już się skończył. Ciekawe, czy będzie jeszcze miała odwagę spojrzeć na dom, w którym przemieszkała z Nate'em siedem szczęśliwych lat.

Lauren zamknęła na chwilę oczy.

– Masz rację, jestem zmęczona – przyznała. – Chyba się trochę zdrzemnę.

– Jak długo zechcesz – powiedział, wycofując się do drzwi.

– Mark...

Zatrzymał się i spojrzał w jej stronę.

– Słucham?

– Chciałam ci podziękować.

Lauren czuła się jednak trochę upokorzona całą sytuacją. Nagle stała się całkowicie zależna od Marka, w jakimś sensie ubezwłasnowolniona. W tym wielkim domu trudno jej będzie pozostać sobą, nigdy bowiem dotąd nie mieszkała w tak obszernej i wspaniałej rezydencji. Był to prawdziwy pałac.

– To naprawdę najlepsze, co mogliśmy zrobić – zapewnił ją Mark po raz kolejny.

Przez chwilę patrzyła na niego, myśląc o tym, że będzie musiała bardzo się starać, żeby go nie znienawidzić. Ofiarował jej tak wiele, ale ona czuła nie wdzięczność, lecz głęboko skrywane upokorzenie. Wiedziała, że nie powinna tak myśleć, ale jej duma została zraniona. Lauren potrzebowała pomocy, bo sama nie poradziłaby sobie w życiu, a jej dziecko czekałby ciężki i niepewny los. I oto pojawiła się życzliwa dłoń, człowiek, który wyciągnął ją z kłopotów, w zamian jednak zabierając wolność i poczucie odpowiedzialności za samą siebie. Czy będzie umiała odnaleźć się w tej sytuacji?

Nagle zrozumiała, że dziwnym zrzędzeniem losu dokonała się niezwykła zamiana ról. Tak samo, jak ona teraz, musiał czuć się Mark, kiedy Remingtonowie przyjęli go pod swój dach i obdarzyli go – trudną dla niego do zaakceptowania – miłością.

Mark wyszedł, ale po chwili zapukał do jej drzwi.

– Tak, proszę.

Stanął w progu i spojrzał z uśmiechem na Lauren:

– Witaj na Sunrise Ranch!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

„Sunrise. Nawet nie wiedziałem, że mi go tak bardzo brakuje. Dopiero teraz zrozumiałem, że po prostu wróciłem do domu”.

(Fragment z pamiętnika Marka Remingtona)

Obudziły ją ciche szepty, które niosły się w powietrzu. Sama nie wiedziała, skąd pochodzą, ale wydały jej się bardzo miłe.

Lauren otworzyła oczy i ze zdziwieniem stwierdziła, że pokój tonie w głębokiej czerwieni zachodzącego słońca, a więc zasnęła na ładnych kilka godzin. Kiedy ostatnio spała tak dobrze?

A tak, w ramionach Marka.

Poczuła lekkie ukłucie w sercu. Od śmierci Nate'a mogła spać spokojnie jedynie przy Marku, inaczej budziły ją senne koszmary lub dręczyły lęki i obawy.

Gdy już udawało się jej zasnąć, wielokrotnie nawiedzał ją straszny sen, w którym widziała, jak Nate płonie w swoim samochodzie. Zrywała się wówczas z krzykiem, wciąż od nowa przeżywając śmierć męża, o której jej tylko opowiadano. Często jednak sen w ogóle nie nadchodził, Lauren bowiem zamartwiała się przyszłością nie narodzonego dziecka, a więc przede wszystkim rozpaczliwym stanem swoich finansów.

Tym razem nawiedzające ją odgłosy nie pochodziły z koszmarne snu, a raczej z... niebios, przypominały bowiem anielskie szepty.

– I co, śpi? – wyszeptał pierwszy anioł.

– Nie, idiotko, ma przecież otwarte oczy – odpowiedział drugi.

Lauren nie sądziła, że aniołowie wymyślają sobie od idiotów. Nieco zdeprimowana tym faktem spojrzała w bok, skąd dochodziły głosy.

Od razu dostrzegła blond cherubinka o intensywnie niebieskich oczach, z wielkim bukietem kwiatów w dłoni. Aniołek uśmiechnął się i okazało się, że brakuje mu jednego ząbka.

– No, nareszcie się pani zbudziła – wyseplenił. – Myśleliśmy, że będziemy czekać do jutra.

– Daj jej kwiaty! No, już! – dodał drugi aniołek, bez kucyków, ale bardzo podobny do pierwszego.

– Jus, jus – spieszył się pierwszy aniołek i wyciągnął wiązankę do Lauren. – To dla pani.

– Proszę jej wybaczyć. Tonya jest trochę nierozgarnięta, bo jest jeszcze mała. – Drugi aniołek dumnie wyprężył pierś. – Ja jestem starsza.

– Sonya, nie psechwalaj się. – Sepleniąca dziewczynka trąciła siostrę łokciem w bok.

Lauren przyjęła kwiaty, czyniąc duże wysiłki, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Miała wątpliwości co do tego, czy rzeczywiście się już obudziła, ale postanowiła nie dzielić się nimi z dziećmi.

– Dziękuję.

– Sonya myśli, że pozjadała wszystkie rozumy, bo urodziła się dziesięć minut wcześniej – poskarżyła się Tonya.

– I nie seplenię – dodała Sonya.

– Bo masz wszystkie zęby – odparowała Tonya. – Ale za to ja mówię sybciej. Eddie opowiadał, że zawsze głośniej płakałam.

Bliźniaczki przekomarzały się jeszcze przez chwilę, a Lauren patrzyła na nie z prawdziwą przyjemnością. Przez cały czas miała wrażenie, że znalazła się w niebie, mimo że cherubinki docinały sobie całkiem chwacko, zupełnie jak na aniołki nie przystało.

Wreszcie bliźniaczki przypomniały sobie o Lauren i spojrzały na nią wystraszone.

– Czy zbudziłyśmy panią? – spytała Sonya.

Lauren usiadła, opierając się plecami o łóżko. Starła się przypomnieć sobie, czy Mark coś wspominał o dziewczynkach i ich opiekunce. Ale nie, chyba nic nie mówił. Skąd się tu wobec tego wzięły te dzieci?!

– Nie, już nie spałam – odparła, przyglądając się bliźniaczkom, które nagle wydały jej się jakby znajome. Czy to możliwe, żeby widziała je wcześniej? – Czy jest tutaj może jakiś wazon?

Bose stopki zatupały na pokrytej dywanem podłodze. Dziewczynki podbiegły do drewnianej serwantki, następnie przystawiły do niej krzesło i po chwili już miały w rękach wielki porcelanowy wazon.

– Ja naleję wody – powiedziała Sonya.

– Nie, ja! – Tonya próbowała wydrzeć jej wazon.

W końcu zgodziły się, że zrobią to wspólnie i po chwili przyniosły napełnione wodą porcelanowe naczynie.

– Dzięki. – Lauren uśmiechnęła się.

Patrzyła na ubranka dziewczynek. Różowe bluzeczki z guziczkami pod szyją doskonale pasowały do białych spodenek. Z pewnością o ich stroje troszczyła się jakaś kobieta, a nie Mark. Dziewczynki mogły mieć jakieś pięć lat, chociaż były bardzo rezolutne, a zwłaszcza „starsza” Sonya. Lauren wstała i ostrożnie postawiła wazon na stole.

– Te kwiaty są naprawdę piękne – powiedziała. Dziewczynki uśmiechnęły się łobuzersko i spojrzały na siebie porozumiewawczo.

– Eddie przygotowała kolację – powiedziała Tonya. Lauren ze zdziwieniem stwierdziła, że chce jej się jeść.

Myślała, że już dawno zapomniała, czym jest uczucie głodu, bowiem zmartwienia i kłopoty sprawiły, że zupełnie straciła apetyt.

– To fajnie – powiedziała, uśmiechając się do dzieci. – A kim jest Eddie?
– Eddie to nasza babcia – również Sonya zdołała wtrącić swoje trzy grosze. – Mówimy na nią Eddie, bo dzięki temu czuje się młodsza.

Oczy dziewczynek wciąż wydawały jej się dziwnie znajome. Po chwili zastanowienia uświadomiła sobie, że Mark ma podobne, jedynie o mniej intensywnym odcieniu błękitu.

– Dobrze, tylko się przebiorę – dodała po chwili Lauren i wybrawszy odpowiedni strój, weszła do łazienki.

Kiedy stamtąd wyszła, powitały ją pełne podziwu spojrzenia bliźniaczek.

– Ja też będę tak wyglądać – szepnęła Tonya.

– Nie będziesz – wtrąciła jej siostra. – Na pewno będziesz inna.

Lauren czekała, aż dziewczynki skończą spór, coraz bardziej zaintrygowana ich podobieństwem do Marka. Po chwili w otwartych drzwiach pojawił się sam Mark i spojrzał na nią i na bliźniaczki, najwyraźniej zadowolony, że są w tak dobrej komitywie.

– Chciałem zapukać, ale drzwi były otwarte – wyjaśnił. Tonya podniosła rączkę do buzi.

– Ojej, zapomniałam!

– Nic nie szkodzi – zapewniła ją Lauren.

– Przyszedłem, bo Eddie na was czeka – powiedział, patrząc z przyjemnością na zaróżowioną po śnie i wyspaną Lauren. Jej cera zaczęła powoli odzyskiwać dawną świeżość, zniknęły też cienie pod oczami.

– Najgorsze, że zbudziłyście Lauren – stwierdził.

– Wcale jej nie zbudziłyśmy! – Dziewczynki zaczęły się przekrzykiwać. – Sama otworzyła oczy. Naprawdę, wujku!

Wujku? Lauren spojrzała ze zdziwieniem na Marka.

– A kwiaty to też nie nasa wina – dodała szybko Tonya.

– Eddie nam pozwoliła.

– To znaczy, prawie pozwoliła – przyznała Sonya. Mark tylko pokiwał głową. Nie miał serca gniewać się na dziewczynki, zwłaszcza po tak długim niewidzeniu. Pogroził im tylko palcem i powiedział:

– No, uważajcie! Możecie je uznać za komitet powitalny – zwrócił się do Lauren.

Skinęła głową i na chwilę przygarnęła dziewczynki do siebie. Potem bliźniaczki wzięły ją za ręce i cała czwórka ruszyła do jadalni.

– Tylko pamiętajcie, żeby następnym razem zapytać Eddie o kwiaty – upomniał je Mark, bardziej chyba z obowiązku niż z potrzeby. – Wiecie, jak o nie dba.

Bliźniaczki skinęły główkami.

– Dobrze, wujku, dobrze.

– Wiecie co, przed kolacją pokażę Lauren dom. Będzie tu przecież teraz

mieszkać. A wy pobiegnijcie do Eddie i pomóżcie jej nakrywać do stołu – zaproponował Mark.

Dziewczynki puściły ręce Lauren i w podskokach ruszyły na dół. Mark patrzył za nimi z miłością i oddaniem. Czy rzeczywiście chciał jej pokazać dom, czy też tylko porozmawiać na osobności?

Okazało się, że ani jedno, ani drugie. Mark zatrzymał się na korytarzu i włożył ręce do kieszeni. Przez dłuższą chwilę milczał, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– One... naprawdę cię nie obudziły? – spytał w końcu.

– Nie, nie – zapewniła go Lauren. – A zresztą i tak powinnam była wstać. Przecież już wieczór.

Wyrzął przez okno. Wielkie czerwone słońce chowało się właśnie za horyzont.

I znowu zapanowała cisza.

Mark dopiero teraz zrozumiał, że ludzie mieszkający pod jednym dachem siłą rzeczy dużo wzajemnie mówią sobie o swoim życiu. Nie wiedział jednak, czy jest gotowy opowiedzieć Lauren o Eddie i dziewczynkach. Nie wiedział też, jak przyjęłaby te wiadomości.

Przez chwilę stali w korytarzu. Mark zastanawiał się, czy podjąć tę trudną dla niego rozmowę, w końcu jednak stwierdził, że jeszcze przyjdzie na to czas.

– Może przełożymy zwiedzanie na inną okazję – zaproponował. – Chodźmy na kolację. A może chcesz się czegoś dowiedzieć?

Byłoby mu znacznie łatwiej, gdyby mógł po prostu odpowiedzieć na pytania, ale Lauren tylko potrząsnęła głową. Nie chciała wtrącać się w życie Marka. On sam decydował o wszystkim w Sunrise, powinien więc też zdecydować, kiedy opowie jej o bliźniaczkach.

Zresztą nic jej nie musiał mówić, przecież była tutaj tylko gościem. Za parę tygodni, a może miesięcy wyjedzie stąd i nigdy już nie wróci. Idąc, jeszcze raz wyrząła przez okno i westchnęła.

No cóż, musiała przyznać, że będzie jej trochę żal.

Bliźniaczki były olbrzymim zaskoczeniem, ale sama Eddie jeszcze większym. Wcale nie musiała się bać tego, że ktoś uzna ją za starą. Wprost przeciwnie, wyglądała młodo i pięknie. Lauren dawno nie widziała tak eleganckiej i pełnej wdzięku kobiety.

Eddie uścisnęła jej dłoń na powitanie.

– Mark nigdy nie mówił, że ma tak śliczną bratową – powiedziała.

Lauren uśmiechnęła się do niej, chociaż wiedziała, że wygląda fatalnie. W ciągu ostatnich trzech miesięcy bardzo zbrzydła. Pogorszyła jej się cera. Bardzo schudła. Jednak nawet dziesięć lat temu nie wyglądała lepiej niż Eddie.

Z zazdrością patrzyła na jej talię osy i czarne, wijące się włosy, które

opadały aż do połowy pleców, i na piękną, pełną wyrazu twarz z ogromnymi oczami. Lauren w żaden sposób nie mogła określić wieku Eddie, dziwiło ją jednak, że dziewczynki nazywały ją „babcią”.

– Może przejdziemy od razu na „ty” – zaproponowała i wyraźnie się ucieszyła, kiedy Lauren skinęła głową.

– Mówcie mi także po imieniu – Lauren zwróciła się do dziewczynek.

– Dobrze, fajnie – uradowały się Sonya i Tonya. Eddie uciszyła wszystkich.

– Pewnie jesteście już głodni – powiedziała i rozejrzała się dokoła. – Świetnie, potrzebuję tylko pomocy mężczyzny.

Mark posłusznie skierował się do kuchni.

– Eddie psygotowała jakąś zupę – szepnęła Tonya.

– Pewnie jak zwykle bardzo pożywną – mruknęła niechętnie Sonya, ale zaraz się rozpromieniła. – Jak ją zjemy, dostaniemy deser. Ty też, Lauren.

Rzeczywiście, po chwili z kuchni wyszedł Mark z wielką wazą zupy, a tuż za nim Eddie z miską sałaty. Mark nie wyglądał zbyt pewnie, kiedy przechodził przez kuchenne drzwi.

– Uważaj na próg – upomniała go Eddie.

Mruknął coś w odpowiedzi, no i oczywiście się potknął. Na szczęście nie wypuścił wazy z rąk. W końcu, z miną zwycięzcy, postawił ją na stole.

– No, udało się.

– W nagrodę dostaniesz większą porcję – obiecała Eddie. Mark spojrzał niechętnie na zupę.

– W zasadzie nie jestem głodny – próbował się wykręcić. Jednak Eddie, która uprzednio postawiła miskę na stole, objęła go i przytuliła do siebie na chwilę. Wyglądało na to, że robi tak dosyć często.

– Jedz, bo nie będziesz miał sił do pracy – upomniała go i spojrzała na bliźniaczki i Lauren. – No, dziewczynki, dawać talerze.

Po chwili wszyscy już mieli przed sobą parujące talerze. Lauren spróbowała zupy i stwierdziła, że dzieło kulinarne Eddie wcale nie jest złe. Wręcz przeciwnie, zupa była znakomita, tyle że bardzo gęsta i sycąca.

Dziwiło ją jeszcze jedno. Mianowicie to, że Mark bez żadnych oporów całował lub obejmował Eddie. Nigdy nie widziała, żeby w tak prosty sposób manifestował swoje uczucia. Jedząc, przyjrzała się jeszcze raz dziewczynkom i stwierdziła, że w ich buziach ukryte jest trudne do określenia podobieństwo do Eddie. Ona też wyglądała jak anioł, jak istota, która pochodzi z innej, niezemskiej rzeczywistości.

Spojrzała na Marka, a potem na Eddie i bliźniaczki. Czy to możliwe, żeby wszyscy byli spokrewnieni? Wujek, babcia... Czy Eddie była kochanką Marka?

Oczywiście czytała o podbojach Marka. Podobno zmieniał kobiety jak rękawiczki. Ale coś jej tutaj nie pasowało, ponieważ Mark zachowywał się

trochę jak pantoflarz. Jakby to Eddie rządziła w tym domu.

Wszystko to otoczone było mgłą tajemnicy, Lauren nie chciała jednak o nic pytać. Jeśli Mark zechce, sam ją we wszystko wtajemniczy, a jeśli nie, to należy poprzestać na domysłach.

– Już skończyłam, już skończyłam! – krzyknęła triumfalnie Sonya, która chyba nie przepadała za zupą.

Lauren zjadła parę kolejnych łyżek.

– Bardzo dobra – zwróciła się do Eddie.

– I pożywna – dodała zagadnięta. – Pewnie dlatego dziewczynki za nią nie przepadają. To, co zdrowe, nie może być smaczne.

– A przecież deser jest zdrowy i smaczny. – Sonya dyskretnie przypomniała babci o łakociach.

Lauren pomyślała, że dawno nie jadła niczego równie treściwego. Ciekawe, czy Eddie wiedziała o dziecku i dlatego przygotowała tę zupę? Reakcje dziewczynek wskazywały, że nie, chociaż oczywiście mogła wiedzieć o jej ciąży. Mark miał wiele okazji, żeby zadzwonić do niej z San Francisco.

Znowu powróciła myślami do dziewczynek i swoich rozważań na temat ich pochodzenia. Czy to możliwe, aby były dziećmi Marka i Eddie? Czytając gazety, miała wrażenie, że reporterzy chodzą za Markiem krok w krok, jest więc mało prawdopodobne, by nic nie napisali o tym akurat romansie. Nate uważnie śledził karierę brata i Lauren była pewna, że nigdy nie wspomniał jej o tym, że Mark został ojcem. Eddie wniosła do jadalni upieczone przez siebie ciasto z morelami. Lauren, jako gość honorowy, dostała największy kawałek. Kiedy spróbowała, zrozumiała, dlaczego uznawano to za przywilej.

Ciasto było po prostu pyszne. Puszyste, dobrze wypieczone, wręcz samo rozpływało się w ustach. Spojrzała z zazdrością na Eddie. Nie spotkała dotąd nikogo, kto by łączył talent kulinarny z tak wielką urodą.

Po kolacji podziękowała za posiłek i przeszła do swojego pokoju w towarzystwie Sonyi, która miała jej pokazać drogę.

– Eddie piecze świetne ciasta – zauważyła Lauren. Dziewczynka aż mocniej ścisnęła ją za rękę.

– Nie tylko ciasta! – powiedziała z westchnieniem. – A jakie galaretki! A jakie kremy! I najpyszniejsze lody, jakie jadłam!

W końcu kiedy Lauren została sama w pokoju, zrozumiała, że nie zaśnie szybko. Jednak o dziwo, nie zaczęła się od razu zamartwiać się finansami i swoją obecną sytuacją. Ten obcy dom wydawał się przyjazny i pełen radości, chociaż zapewne krył w sobie wiele tajemnic.

Lauren postanowiła jeść, pić i wypoczywać. Postara się też spenetrować najbliższe okolice, tak jak to robiła w dzieciństwie. Wierzyła, że rozwiązanie przyjdzie samo. Może uda jej się dobrze sprzedać dom. A jeśli nie, postara się zarobić pieniądze w inny sposób.

Na razie potrzebuje spokoju.

Wyrzuciła za okno i stwierdziła, że chyba nie istnieje spokojniejsze miejsce na ziemi i zarazem tak piękne.

Kilka razy głęboko odetchnęła, a następnie usiadła na fotelu przy oknie.

Raz jeszcze przemyślała swoją sytuację i postanowiła nie wtrącać się do spraw Marka. I to z dwóch powodów. Po pierwsze ze względu na to, że jest nowa i przebywa tu tylko chwilowo. A po drugie... No cóż, nie widziała Marka tyle lat i nie wiedziała, jakim naprawdę teraz jest człowiekiem. Wprawdzie wyglądało na to, że sława i pieniądze nie zepsuły go, ale Lauren chodziło o coś innego. Na dawnego Marka nie można było liczyć, zawsze bowiem przed nią uciekał. Czy nadal jest taki sam?

Nagle poczuła, że ma ciężkie powieki. Nie sądziła, że po paru przespanych godzinach znowu poczuje się senna. Może to reakcja organizmu na stres ostatnich dni?

Nie chciała się nad tym zastanawiać. Powieki ciążyły jej coraz bardziej. Pomyślała, że jeszcze musi się umyć, ale nawet prysznic jej nie orzeźwił. Półprzytomna, padła jak kłoda na miękkie łóżko.

Nawet się nie przykryła, ale noc na szczęście była ciepła.

Mark był pewien, że wszyscy domownicy udali się już na spoczynek, kiedy Eddie wyszła na taras, podała mu kieliszek wina i usiadła obok.

Siedziała, milcząc, tylko co jakiś czas podnosiła swój kieliszek do ust. Mark też wypił parę łyków doskonałego białego wina, a następnie spojrzał na rozgwieżdżone niebo.

– Chcesz porozmawiać? – spytała w końcu Eddie. Mark tylko wzruszył ramionami.

– Nie ma o czym – rzucił.

Eddie westchnęła, słysząc tę odpowiedź.

– Raczej to ty nie chcesz – stwierdziła. – Czy powiedziałaś jej o mnie i dziewczynkach?

W odpowiedzi pokręcił głową.

– Zrobię to, kiedy przyjdzie właściwy moment – dodał po chwili.

Eddie wypła trochę wina, a następnie spojrzała na Marka. Światło księżycy srebrzyło się na jego włosach i ramionach, czyniąc go prawie nierealnym.

– A kiedy jej powiesz, że ją kochasz?

Wcale się nie zdziwił, że Eddie rozszyfrowała go tak szybko. Nie trudził się też, aby zaprzeczyć, wiedział bowiem, że tej kobiety nie można oszukać.

– Nie myślałem jeszcze o tym – odparł.

– Dlaczego?

Ciężko westchnął i wypił łyk wina.

– Dlaczego, dlaczego... – mruknął.

Eddie znała jego sytuację tylko w ogólnych zarysach. Mogła się jedynie domyślać, że coś dziwnego wydarzyło się między nim a Lauren. Coś, co bardzo skomplikowało ich stosunki.

– Lauren obserwuje nas i jest chyba trochę zazdrosna – powiedziała po głębszym namyśle.

Mark potrząsnął głową.

– Wciąż opłakuje śmierć męża. I wcale nie jest zazdrosna, a już na pewno nie o mnie.

Eddie wstała, pocałowała go delikatnie w policzek, a następnie usadowiła się na poręczy jego fotela. Mark objął ją odruchowo i przyciągnął do siebie.

– Nie bądź tego tak pewny – szepnęła mu wprost do ucha. – I daj jej trochę czasu. Lauren przeżyła straszne miesiące i wszystkiego się boi, również swoich uczuć.

Oboje wiedzieli dużo i o uczuciach, i o czasie, który potrafi goić rany, ale czasami też wtrąca nas w piekło oczekiwania. Znali też ból, który pozostawiają nie odwzajemnione uczucia. Najczęściej rozumieli się bez słów. Dlatego teraz w ciszy dopili swoje wino, a następnie uśmiechnęli się do siebie i rozeszli do swoich pokoi.

Następnego ranka Eddie powitała Lauren w jadalni, a kiedy przeszły do kuchni, zaczęła swój wykład na temat domu:

– Mamy tu tylko jedną zasadę – zaczęła. – Każdy musi się czuć jak u siebie. Nie uznajemy żadnych innych praw. Każdy strój jest dozwolony.

Eddie stanowiła żywe ucieleśnienie tej zasady. Miała na sobie czarny kostium kąpielowy z koronek, który więcej odsłaniał niż zasłaniał i cudownie podkreślał jej młodzieńczą sylwetkę. Co prawda narzuciła na to białą bluzeczkę, ale nawet nie zapięła guzików. Lauren przez chwilę poczuła się przy niej nieswojo.

– W lodówce zawsze jest coś do jedzenia, a w ekspresie gorąca kawa – ciągnęła Eddie, otwierając drzwi lodówki. Rzeczywiście, w środku było mnóstwo produktów. – Śniadanie jemy jak chcemy i kiedy chcemy. Może ci coś przygotować?

Lauren podeszła do ekspresu.

– Nie, dziękuję, sama sobie przygotuję. Eddie stropiła się trochę na te słowa.

– Mark mówił, że jesz bardzo mało – rzekła z wahaniem. Lauren pokręciła głową.

– Czasami po prostu mam mdłości, ale dziś już mi przeszły – powiedziała, bacznie przyglądając się Eddie, która nie okazała zdziwienia.

To znaczy, że wie o dziecku, pomyślała Lauren. Nalała sobie kawy, a następnie podeszła do wciąż otwartej lodówki.

– Prawdę mówiąc, jestem dziś dosyć głodna – dodała. – Chętnie zjem coś pożywnego.

Eddie odetchnęła z ulgą.

– Jasne. Bierz, czego potrzebujesz.

Mark pchnął uchylone drzwi do kuchni i stanął na progu w swoim stetsonie.

– Świetnie, tak trzymać – powiedział tubalnym głosem i zdjął kapelusz.

– No, myślę, że mogę was zostawić – rzekła uradowana Eddie i nadstawiła Markowi policzek do pocałowania. – Muszę już iść, bo na basenie czekają na mnie dwa wodne szczury, które bardzo się niecierpliwiają. Ciao!

Lauren wyjrzała przez kuchenne okno, z którego widać było wielki basen z krystalicznie czystą wodą. Sonya i Tonya czekały karnie na brzegu, spoglądając co jakiś czas w stronę domu.

– Zjesz coś? – spytała Marka.

Nie patrzyła w jego stronę, ale czuła miły zapach siana i garbowanej skóry płynący od drzwi.

– Nie, dziękuję, jadłem wcześniej – odparł. – Teraz tylko chętnie napiję się kawy.

Wyjęła drugi kubek i naląła mu gorącego płynu. Kiedy ujrzała Marka w stroju do jazdy konnej, wydał jej się zupełnie innym człowiekiem. Wyglądał teraz bardziej męsko i wyniośle, jak prawdziwy właściciel Sunrise Ranch.

Podąa mu kubek. Mark spojrzał na Lauren z troską.

– Jak się dziś czujesz? – spytał.

– Właśnie mówiłam Eddie, że lepiej – odrzekła. – Te poranne mdłości powoli ustępują, dzięki czemu odzyskuję apetyt.

– To dobrze. To bardzo dobrze.

Niby rozmawiali jak starzy przyjaciele, jednak Lauren wciąż odnosiła wrażenie, jakby Mark był dla niej kimś zupełnie obcym. Zupełnie nie mogła go rozgryźć i nie wiedziała, kto w rzeczywistości stoi przed nią: jej przyjaciel? A może opromieniony sławą rajdowiec? Czy też playboy, o którego podbojach rozpisują się gazety? Lub kowboj, właściciel dużej farmy hodowlanej?

Bardzo chciała zapytać go: kim jesteś, Mark? Niestety, wciąż brakowało jej odwagi.

Lauren wiedziała, że Mark miał wiele kobiet, a część z nich pewnie wciąż żywiła nadzieję, że odnowią tę dawną znajomość. Lecz on? Czy myśli o tym? Czy jest nawróconym grzesznikiem, czy tylko zbierał siły przed następnymi szaleństwami?

Lauren nagle zaczerwieniła się na wspomnienie tego, co wydarzyło się siedem lat temu. Wciąż czuła ciężar Marka i zapach jego skóry. Czy to nie dziwne? Po tylu latach?

– Naprawdę wszystko w porządku? – usłyszała jego zaniepokojony głos.

Oczywiście nic nie było w porządku. Cały jej świat leżał w gruzach.

– Tak, tak. Nic się nie dzieje.

Spojrzała na kąpiące się w basenie dziewczynki, które mogły być jego córkami, i na Eddie, która mogła być ich matką. Nic z tego nie rozumiała, poza tym, że znalazła się w zupełnie obcym świecie. Z tego wynikało, że Mark również stał się jej obcy. Świat pieniędzy i luksusu musiał go jednak odmienić.

Podszedł do ekspresu i ponownie napełnił kubek.

– Dobrze dzisiaj spałaś?

– Tak, bardzo mocno – odparła zniecierpliwioną jego troskliwością. – Nie musisz się mną przejmować. Wszystko jest w porządku – dodała opryskliwie.

Podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu.

– Rozumiem cię. Wiem, co to znaczy zależeć od kogoś. To bardzo trudne.

Lauren zamknęła oczy i parę razy skinęła głową.

– Przepraszam, naprawdę jest mi przykro. Potrzebuję czasu, żeby się przyzwyczaić. To dla mnie zupełnie nowa sytuacja.

Bliźniaczki wesoło chlapały się w basenie, a Eddie pływała w ich pobliżu.

– Oczywiście – powiedział Mark i poklepał Lauren po ramieniu.

Tak naprawdę chciał ją objąć i pocałować, poczuć choć na chwilę ciepło jej ciała. Nie miał jednak odwagi, żeby to zrobić. Bał się, że Lauren odczyta to jako arogancki gest pana i władcy, który przyszedł odebrać to, co do niego należy.

Miał nadzieję, że wszystko się z czasem ułoży i że Lauren znajdzie swoje miejsce na ranchu, na razie jednak sytuacja nie wyglądała zbyt dobrze.

Teraz najlepiej zostawić bratową w spokoju. Spojrzał na nią i stwierdził, że wciąż jest spięta. Jednocześnie odniósł jednak wrażenie, że Lauren doskonale dostosuje się do atmosfery Sunrise. Że właśnie tutaj jest jej miejsce. Musi tylko sama się o tym przekonać. Zrozumieć. Uwierzyć w Marka i w siebie.

Wypił kilka łyków kawy i głęboko się zamyślił. Jakie to dziwne! Od kiedy kupił Sunrise, zawsze wyobrażał sobie, że Lauren jest tutaj. Nawet w czasach, kiedy była żoną jego brata.

Na szczęście uświadomił to sobie dopiero w tej chwili. Za wszelką cenę chciał pozostać lojalny wobec Nate'a. I był, poza jedną fatalną nocą przed siedmioma laty...

Mark uśmiechnął się na widok piszczących dziewczynek i pilnującej ich Eddie. Jak dobrze, że są tutaj, pomyślał, i że należymy do siebie. Jak dobrze, że jest tutaj Lauren.

Dopił kawę i postawił kubek przy zlewie.

– Wracam do koni – oznajmił. – Możesz zająć się tym, na co masz ochotę. Po obiedzie oprowadzę cię po ranchu, jeśli będziesz chciała.

Oderwała wzrok od kąpiących się dziewcząt i spojrzała na Marka.

– Mówiłeś, że będziesz miał dla mnie jakąś pracę.

Skinął głową w odpowiedzi.

– Tak, mogłabyś zająć się moim biurem – powiedział z wahaniem. – Panuje tam jednak taki bałagan, że parę dni zwłoki niczego nie zmieni.

– Chciałabym coś robić...

– Żeby zarobić na swoje utrzymanie? – wpadł jej w słowo. – Nie przejmuj się. Kiedy zobaczysz moje biuro, sama dojdiesz do wniosku, że zrobiłem dobry interes, zapraszając cię tutaj.

Podszedł do lodówki, wyjął butelkę z wodą mineralną, a następnie ruszył do wyjścia. Zatrzymał się jeszcze w drzwiach i odwrócił do Lauren:

– Może chcesz popływać? Eddie i dziewczynki czekają na ciebie.

Eddie i dziewczynki! Lauren wciąż nie miała odwagi zapytać, kim są te małe i skąd się bierze ich dziwne podobieństwo do Marka.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

„Lauren miewa się coraz lepiej. Widzę to po jej oczach. Poza tym, dzięki dziewczynkom i Eddie, coraz częściej się uśmiecha i nie skupia się już tak bardzo na swoim nieszczęściu”.

(Fragment z pamiętnika Marka Remingtona)

Lauren uznała, że powinna posłuchać rady Marka i całkowicie się zrelaksować. Poszła więc nad basen, w cieniu zielonobiałego parasola ustawiła leżak, wygodnie się na nim ułożyła i zaczęła kibicować baraszkującym na płyce bliźniaczkom, co chwila wykrzykując pochwały pod ich adresem.

Natomiast Eddie zachęcała dziewczynki, by popływały na głębszej wodzie:

– Spróbujcie – przekonywała. – Nie bójcie się, jestem tu i na pewno nic się wam nie stanie.

Sonya i Tonya posuwały się parę kroków w stronę głębi, a następnie wracały z piskiem. One są naprawdę śliczne i urocze, pomyślała Lauren, nic dziwnego, że Eddie tak bardzo je kocha. Było również zupełnie oczywiste, że Mark darzy je miłością.

Cała ta sytuacja wydawała się Lauren bardzo tajemnicza.

Po pierwsze: gdyby Mark był ojcem dziewczynek, nie udawałby ich wujka, bo niby z jakiego powodu miałby tak postępować?

Po drugie, gdyby Eddie była jego kochanką, a choćby nawet była kochanką, z całą pewnością nie odnosiłaby się do Lauren z taką życzliwością, tylko uznałaby ją za rywalkę, która weszła na jej terytorium. W tych sprawach nic się zmieniło od epoki kamienia łupanego.

A jednak Lauren była pewna, że Eddie naprawdę ją polubiła, choć jednocześnie nie kryła swojej miłości do Marka. Takie uczucia nie mogą jednak iść ze sobą w parze, są bowiem nie do pogodzenia!

Lauren pokręciła głową i wypila łyk zimnej lemoniady. Czuła się tak, jakby dostała do ręki puzzle, które zupełnie do siebie nie pasują.

Dziewczynki wykapały się, wytarły wielkimi ręcznikami i włożyły różowe sukieneczki, a następnie podbiegły do Lauren i zaproponowały, że oprowadzą ją po domu. Z radością się na to zgodziła, dzięki temu bowiem będzie mogła lepiej poznać rozkład pomieszczeń. Nie to jednak było najważniejsze. Czuła instynktowną sympatię do tej wielkiej rezydencji, która od początku wydała jej się miła i przyjazna. Było to o tyle dziwne, że jak dotąd Lauren zawsze mieszkała w małych domkach.

Najpierw zwiedziły dół z rozległym holem i salonem, a następnie przeszły na górę. Przez duże, przeszklone drzwi prowadzące na taras Lauren zobaczyła

Marka pracującego wraz z innymi kowbojami koło stajni. Nikt by się nie domyślił, że jest właścicielem całej posiadłości.

Na szczęście dziewczynki, zachowując nadzwyczajną w przypadku małych dzieci dyskrecję, pozwoliły Lauren tylko zerknąć przez uchylone drzwi do pokoi Marka i Eddie, ale nie wchodziły do środka. Na koniec bliźniaczki z tajemniczymi minami wepchnęły swoją starszą przyjaciółkę do dużego pomieszczenia, w którym dominował kolor różowy.

– To nase – powiedziała z dumą Tonya.

Pokój stanowił ucieleśnienie marzeń kilkuletnich dziewczynek. Poza łóżeczkami z różowymi narzutami znajdowało się tutaj mnóstwo zabawek, poustawianych na półkach albo porozrzucanych po malinowym dywanie.

Lauren wzięła z podłogi wielkiego różowego dinozaura i przycisnęła go do piersi. Po raz pierwszy od chwili, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, zaczęła się zastanawiać, czy urodzi chłopca, czy dziewczynkę.

Och, Nate, tak bardzo chciałam dać ci to dziecko! pomyślała z bólem.

– Chodź, pokażemy ci domek dla lalek. – Sonya pociągnęła ją za rękaw.

Domek stał w rogu pokoju i tak naprawdę był prawdziwym domiszczem, w którym swobodnie mieściły się nie tylko mebelki i lalki, ale również Tonya i Sonya. Niestety, Lauren była jednak za duża i mogła jedynie zaglądać do środka przez okna lub drzwi. Czowała się przy tym trochę jak Alicja w krainie czarów.

Dziewczynki bawiły się tak dobrze, że Lauren wkrótce je pożegnała i zeszła na dół. Zaczynała się powoli orientować w skomplikowanym układzie domu. Wyszła na zewnątrz i ruszyła przed siebie, starając się z daleka ominąć stajnie oraz wybieg dla koni.

Coś jednak ciągnęło ją w tamtym kierunku. W końcu weszła w alejkę, z której doskonale było widać Marka i pracujących kowbojów.

Po chwili, jak spod ziemi, pojawiła się tuż przy niej Eddie. Zdążyła się już przebrać. Miała na sobie jasne szorty i bluzkę na cienkich ramiączkach.

– Mark hoduje wierzchowce – powiedziała. – Początkowo robił to dla przyjemności, ale potem okazało się, że to zupełnie niezły interes. Co prawda ma teraz ośmiu kowbojów do pomocy, ale sam lubi wszystkim się zajmować. Po prostu uwielbia konie.

Po spacerze Lauren poszła do swojego pokoju, aby zadzwonić do rodziców Nate'a. Wiedziała, że już dawno powinna to zrobić. Poinformowała ich o przeprowadzce do Marka i umówiła się na spotkanie. Miała nadzieję, że ucieszą się, kiedy im powie o dziecku, pewnie też z przyjemnością odwiedzą swojego drugiego przybranego syna.

Na szczęście nie orientowali się w skomplikowanych relacjach między nią a Markiem, jak również nic nie wiedzieli o jej kłopotach finansowych, bo inaczej natychmiast zaofiarowaliby się z pomocą. Oczywiście Lauren nigdy nie przyjeżdżały od nich pieniędzy, wiedziała bowiem, że Remingtonowie nie należą

do ludzi szczególnie bogatych. Wprawdzie ich dochody nie były małe, lecz nigdy nie oszczędzali, uważali bowiem, że przede wszystkim powinni zapewnić dobry start życiowy swoim synom.

Po tej rozmowie poczuła się senna. Od dawna nie przebywała tak długo na świeżym powietrzu. Położyła się, jak jej się zdawało, na parę minut, ale przespała prawie godzinę, bez koszmarów sennych.

Kiedy się obudziła, stwierdziła, że jest już późno. Szybko przemyła twarz i zeszła na dół, aby pomóc w przygotowaniu obiadu.

Jednak Eddie skończyła właśnie nakrywanie do stołu.

– To niesamowite, że tyle tutaj śpię – powiedziała zdumiona Lauren. – Nigdy nie byłam takim susłem.

– Mam nadzieję, że dziewczynki cię nie obudziły.

– Nie, ale powinny, bo chciałam ci pomóc przy obiedzie. Eddie spojrzała na nią badawczo.

– Oczywiście zawsze możesz mi pomóc w kuchni, jeśli będziesz chciała, pamiętaj jednak, że nie jest to konieczne, bo z zamiłowania jestem kucharką. Mogłabyś jednak sprowadzić mi tu całe towarzystwo. To znaczy, Mark przyjdzie sam, ale dziewczynki zawsze trzeba zaganiać na posiłki.

Lauren skinęła głową, a Eddie znów uśmiechnęła się do niej i zniknęła w kuchni.

Bliźniaczki były na podwórku przed domem i udawały, że prowadzą salon fryzjerski. W tej chwili Sonya skończyła rozczesywać włosy Tonyi i starała się upiąć je w kok.

– Cześć, Lauren! – wykrzyknęły jednogłośnie, gdy ujrzały Lauren.

Natychmiast porzuciły zabawę i chwyciły ją za ręce.

– Cy widziałaś już swój ogród? – dopytywała się podniecona Tonya.

– Mój ogród? – zdziwiła się.

– Wujek Mark powiedział, że twój ogród będzie za domem – poinformowała Sonya.

Pociągnęły ją tam, krzycząc jedna przez drugą:

– Jest naprawdę fajny! Taki kolorowy! I można zasadzić w nim nowe roślinki!

W końcu zatrzymały się przed rabatką, która na tle soczystej zielonej trawy wyglądała jak wzorzysty kobierzec. Lauren ze wzruszeniem patrzyła na kwiaty. Takie same gatunki posadziła w swoim ogrodzie w San Francisco.

– Jest piękny – westchnęła. – Zwłaszcza te lilie. Sonya skinęła głową.

– Wujek powiedział, że pewnie ci ich brakuje – powiedziała.

– Dlatego psy wiozł je wszystkie z twojego ogrodu – dodała zaraz Tonya.

– Same pomagałyśmy je sadzić – uzupełniła z dumą Tonya. Lauren patrzyła z niedowierzaniem na kwiaty. Czyżby Mark zadał sobie aż tyle trudu, żeby sprawić jej przyjemność? Choć wydawało jej się, że rozpoznaje swoje

rośliny, sądziła, że to złudzenie.

Nagle, tuż za nimi, rozległy się odgłosy kroków. Lauren odwróciła się w tę stronę, ale bliźniaczki były szybsze.

– Wujku, wujku! Pokazujemy jej ogród – zaczęła, jak zwykle szybsza, Tonya.

– I powiedziałyśmy jej o liliach! – dodała Sonya, spontanicznie przytulając się do Lauren.

Patrzyła na Marka, nie mogąc zrozumieć, jak to możliwe, że ten sam człowiek mógł być kimś tak dalekim i jednocześnie tak bliskim. Ten gest wymagał nie tyle pieniędzy, co subtelnego wyczucia sytuacji, w jakiej znalazła się Lauren. Była zdziwiona, że Mark w ogóle pomyślał o jej kwiatkach.

– Dla... dlaczego? – spytała, patrząc mu w oczy. W odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

– Szkoda je było zostawić – mruknął.

– Dziękuję – szepnęła, poruszona jego wrażliwością. Nie chciał przyznać, że zrobił to specjalnie dla niej.

– Naprawdę nie ma za co – powiedział Mark szybko, a następnie zwrócił się do dziewczynek: – No, co? Idziemy na obiad? Eddie pewnie już czeka.

Lauren dopiero teraz przypomniała sobie o swoim zadaniu.

– Właśnie mnie po was przysłała – powiedziała.

– Słyszałem, że na deser ma być ciasto czekoladowe – oznajmił Mark z uśmiechem.

Bliźniaczki spojrzały na siebie i wykrzywiły twarzyczki w nagłym grymasie.

– Wiesz, co to znaczy – powiedziała Sonya.

– Mhm. Brokuły.

– Pomyślcie lepiej o cieście – ratował sytuację Mark.

– Łatwo powiedzieć – westchnęła Tonya.

– Eddie zawsze robi nam coś takiego – poskarżyła się Sonya.

Lauren leciutko uśmiechnęła się. Powoli zaczynała rozumieć zasady panujące w tym domu. Do niczego nie zmuszać, ale w zamian stosować pozytywne bodźce.

– Tak już jest w życiu – z filozoficzną i pełną smutku zadumą skonstatowała Tonya.

Lauren przygryzła wargi, by nie wybuchnąć śmiechem. Szybko ruszyła w stronę domu, a całe towarzystwo podążyło za nią. Kiedy znaleźli się na miejscu, Eddie jak zwykle powitała ich szerokim uśmiechem.

– Nie zgadnicie, co dzisiaj na obiad – powiedziała.

– Brokuły! – rozległy się dwa żalosne głosiki.

– No, proszę, a sądziłam, że się nie domyślicie.

Lauren sama nie wiedziała, jak to się stało, ale miesiąc w Sunrise zleciał jej jak z bicza trzasł. A potem następny. Jej lilie wspaniale się przyjęły i stały się ozdobą ogrodu. Dziewczynki poszły po raz pierwszy do szkoły, do „zerówki”, i były bardzo tym przejęte. Co prawda nie musiały jeszcze odrabiać prac domowych, ale Lauren pomagała im przy nauce pisania i czytania. Na szczęście Tonyi wyrósł nowy ząbek i przestała seplenić, co bardzo ją uradowało, bowiem bała się, że szkolne koleżanki będą ją przedrzeźniać.

Lauren cieszyła się, że jej dziecko rozwija się prawidłowo. Odwiedziła dwa razy poleconego jej przez Eddie ginekologa, który zapewnił ją, że nie ma żadnych powodów do obaw. Skończyły się poranne mdłości, nieco przytyła, a jej brzusek bardzo się zaokrąglił, choć nadal pod luźną sukienką mogła ukryć ciążę.

Czuła się jak dryfująca łódź. Pływała niesiona jakimś prądem, lecz nie wiedziała ani nawet nie próbowała zgadnąć, do jakiego portu zawinie u kresu tej drogi.

Mark prawie nie opuszczał rancza, chyba że musiał wyjechać po zakupy. Często zresztą wyręczała go w tym Eddie, która również towarzyszyła Lauren podczas jej wizyt u lekarza i przy innych okazjach. Razem kupiły wyprawkę dziecięcą, wanienkę i mnóstwo różnych rzeczy potrzebnych dla noworodka. Eddie mówiła przy tym, że korzysta z „domowych” pieniędzy.

Lauren starała się nie myśleć o finansach. Wiedziała, że w tej chwili i tak nie znajdzie żadnego sensownego rozwiązania, więc nie ma się co denerwować. Martwiła ją tylko zależność od Marka, która wciąż się pogłębiała.

Późnym popołudniem Mark jak zwykle wybrał się konno w góry. Lauren pomogła dziewczynkom w przygotowaniu ich pierwszej pracy domowej, a następnie Sonya i Tonya zasiadły przed telewizorem, żeby obejrzeć na wideo swoją ulubioną bajkę.

Ponieważ Lauren nie miała już nic do roboty, wyszła więc na taras, by obejrzeć zachód słońca. W oddali ujrzała samotnego jeźdźca. Od razu poznała, że to Mark.

Nie tyle zresztą rozpoznała go, odległość była bowiem zbyt duża, co instynktownie wyczuła, kim jest ów kowboj. A zaraz potem z niepokojem i konsternacją stwierdziła, że wyszła tu nie po to, by podziwiać zachód słońca, lecz by wypatrywać Marka Remingtona, galopującego wśród skał.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Jej uczucia względem Marka wciąż dalekie były od jednoznaczności, jednak czuła do niego coraz większą sympatię. Jedyne, co poważnie ją dręczyło, to coraz większa finansowa zależność od szwagra.

Zamknęła na chwilę oczy, a kiedy je otworzyła, jeździec zniknął wśród drzew. Siedziała jeszcze chwilę, wypatrując go, ale na próżno.

W końcu poszła do kuchni, żeby napić się soku, lecz po chwili znów była na tarasie. Usiadła i położyła rękę na brzuchu.

Tak mało wiedziała o swoim dziecku. Jasne, rośło w jej łonie, co było wyraźnie widać, lecz nie miała nawet pojęcia, w jakiej fazie rozwojowej się znajduje.

A czy wiele więcej wiedziała o Marku?

Im dłużej o nim myślała, tym bardziej zagadkowy jej się wydawał. Na przykład, jego stosunek do Eddie. Miała wrażenie, że są sobie bardzo bliscy, a jednak Lauren wiedziała już z całą pewnością, że nie są kochankami. Ich pocałunki i uściski były zupełnie niewinne, emanowały bowiem nie erotycznym napięciem, lecz zwykłą czułością.

Lauren od jakiegoś czasu wiedziała, że nie jest stworzona do samotności. Przebywając w Sunrise, zrozumiała, w jakim koszmarze żyła przez pierwsze trzy miesiące po śmierci Nate'a. Tak bardzo pragnęła mieć rodzinę. Jednak czy wystarczy jej rola cioci uroczych bliźniaczek, przyjaźń Eddie i nadopiekuńczość Marka?

Wciąż zresztą nie wiedziała, kim są dla siebie Eddie i Mark. Może jednak kiedyś byli kochankami? Mogła o to zapytać Marka lub Eddie, uznała jednak, że na to jeszcze za wcześnie.

Znowu poczuła, że dzieje się z nią coś dziwnego. No, tak, Mark pojawił się bliżej domu... Obserwowała każdy jego ruch, a jej serce biło coraz mocniej. Czy Mark dostrzegł ją z tej odległości i czy specjalnie jedzie w stronę tarasu?

Czekała na niego.

Nie, to niemożliwe! Przecież jej mąż zmarł tak niedawno.

Nie mogąc wytrzymać napięcia, schwyciła szklankę i uciekła do kuchni, jednak po drodze zerknęła przez okno. Mark właśnie skręcał w stronę stajni.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że spocły jej się dłonie. Sama nie wiedziała, co robić dalej. Przez chwilę stała na środku kuchni, a potem szybko schroniła się w swoim pokoju.

Położyła się na łóżku i przymknęła oczy. I nagle przemknęło jej przez głowę, że byłoby dużo prościej, lepiej i... prawdziwiej, gdyby stali się z Markiem kochankami.

Już po sekundzie jednak płonęła ze wstydu. Boże, o czym ona myśli!?

Następnego dnia wstała rano i otworzyła szeroko okno. Październikowe powietrze było dość chłodne, Lauren włożyła więc niebieskie legginsy i sięgający do połowy ud sweter. Zdecydowała, że jeśli później zrobi się cieplej, to się przebierze w coś lżejszego.

Jednak gdy stanęła w drzwiach jadalni, od razu zrobiło jej się gorąco. Szybko położyła rękę na brzuchu, a dziecko kopnęło ją ponownie i gwałtownie zmieniło pozycję. Po dwudziestu siedmiu tygodniach mieszkanko w jej brzuchu zaczęło robić się ciasne.

Jak długo jeszcze? pomyślała, chociaż doskonale znała odpowiedź.

Nikt z obecnych nie zauważył jej przyjscia, ponieważ działały się tu rzeczy ważne, wręcz podniosłe.

Mark siedział na krześle, a obie bliźniaczki przycupnęły przed nim na stole. Sonya wyciągnęła do wujka stópkę, a on z niezwykłą uwagą starał się pomalować różowym lakierem marki Hot Panther jej malutkie paznokietki.

Oto jak dziewczynki powoli przeistaczały się w świadome swej urody kobiety.

– Teraz ja, wujku! Teraz ja! – wykrzyknęła Tonya. – Wszystkie dziewczyny będą mi zazdrościć.

– A ja co? Mam siedzieć z pomalowanymi paznokciami jednej stopy? – spytała niezadowolona Sonya.

– Przynajmniej część paznokci wujek ci pomalował – odparowała siostra.

– Nie zaczynaj! Przecież jestem starsza!

– Spokojnie, spokojnie! – Mark wyciągnął do góry rękę. – Bo pomaluję wam buzie. Moim zdaniem to i tak wszystko jedno, bo tych waszych paznokci wcale nie widać.

– No właśnie – zgodziła się Tonya. – Mogłybyśmy sobie zrobić normalny makijaż. Wiem, gdzie Eddie trzyma swoje przybory.

– Co takiego?! – Mark nie wyglądał na uszczęśliwionego tym pomysłem.

– Ależ wujku, u nas w szkole wszystkie dziewczyny się malują – próbowała tłumaczyć się Tonya.

Po dłuższym przesłuchaniu okazało się jednak, że nie wszystkie, tylko Mary-Ann, i że pani, gdy tylko to zobaczyła, natychmiast kazała jej zmyć makijaż. Co nie zmieniało oczywiście faktu, że Mary-Ann stała się klasową bohaterką.

– Umówiliśmy się! Pomaluję wam tylko paznokcie u nóg – powiedział Mark. – Po pierwsze, prawie ich nie widać, a po drugie, i tak nosicie skarpetki.

Sonya spojrzała na swoją stópkę.

– Faktycznie – przyznała. – Zdaje się, że babcia robi to lepiej.

Mark odsunął od siebie lakier i założył ręce na piersi.

– Wobec tego poczekamy na Eddie.

– Nie! Nie! – zakrzyknęły dziewczynki.

– Jak my będziemy wyglądać na zajęciach sportowych!

– dodała szybko Tonya.

Tym razem zbyt prędko język ją zgubił. Mark ze swego krzesła zerknął badawczo na bliźniaczki.

– Na zajęciach sportowych? – spytał nieufnie. Okazało się, że dziewczynki do szkoły chodzą wprawdzie w skarpetkach, ale ćwiczą boso i właśnie wtedy odbywa się rewia mody. Lauren słuchała tego ze swego miejsca, z trudem zachowując powagę. Sama przeżywała w szkole podobne historie.

Była wtedy oczywiście dużo starsza od tych dziewczynek, uważała się prawie za dorosłą i zaczęła się malować. Ale między uczennicami a nauczycielkami zawsze toczyły się o to boje.

– Macie jeszcze czas – argumentowały nauczycielki. – Będziecie to robić później, na studiach.

Tak, ale „później” to już nie jest taka frajda, pomyślała smutno Lauren.

Mark musiał wyczuć jej obecność, bo spojrzał w jej stronę. W wielkich rękach wciąż trzymał stópkę Sonyi. Był to tak rozczulający widok, że Lauren aż wstrzymała oddech.

– O, już wstałaś! – zawołała Tonya.

Już? Jej się zdawało, że obudziła się dzisiaj wyjątkowo wcześnie.

– To co, może jednak zaczekacie z tym malowaniem na Eddie?

Bliźniaczki jednocześnie pokręciły jasnymi główkami.

– Eddie nie może – zaczęła Tonya.

– Robi dzisiaj konfitury i na Święto Dziękczynienia przygotowuje pierożki. Chce je potem zamrozić – wtórowała jej Sonya.

Mark zrobił smętną minę.

– Sam nie wiem, dlaczego się zgodziłem – mruknął niechętnie.

Udawał, bo tak naprawdę bardzo lubił bawić się z dziewczynkami. Często grywał z nimi w gry planszowe, Lauren widziała też, jak cesał bliźniaczki i upinał im włosy. Wbrew pozorom był bardzo cierpliwy, delikatny i uważny.

Sonya wyjęła z jego rąk jedną stópkę i włożyła w nie drugą.

– Teraz ta, wujku.

Mark posłusznie wziął lakier i wystawiwszy lekko czubek języka, pomalował kolejne paznokietki. Na koniec dmuchnął, by choć trochę osuszyć lakier.

– No, wreszcie koniec – powiedział z westchnieniem ulgi.

– Teraz ja! Teraz ja! – dopraszała się Tonya, pupą spychając siostrę ze stołu.

– Poczekaj! – jęknęła Sonya. – Jeszcze nie wyschły. Jednak Tonya była bezwzględna. Zepchnęła Sonyę, a następnie podstawiała swoją stopę Markowi prosto pod nos.

– Am, jaka smaczna! – Mark udawał, że ją gryzie.

Mała zaczęła chichotać. Po chwili dołączyła do niej Sonya, a na końcu Lauren. Jednak gdy tylko zaczęła się trząść ze śmiechu, poczuła ponownie kopnięcie.

Pewnie dzidzius nie lubi trzęsienia ziemi, pomyślała.

– No dobrze, daj stopę – powiedział Mark do Tonyi, kiedy mała przestała się śmiać. – Tylko bez wygłupów.

– Czy ktoś napije się soku? – spytała Lauren i spojrzała na Marka. – Albo kawy?

– Ja! – krzyknęły obie dziewczynki.

– Ale soku czy kawy? – dopytywała się Lauren.

– Piwa, tak jak wujek po pracy! – zawołała Sonya, przezornie upewniwszy się, że stoi daleko od Marka, który jednak szybko i dobitnie powiedział:

– Ja też poproszę o sok.

Lauren przeszła do kuchni i napełniła sokiem cztery szklanki. Kiedy wróciła, paznokcie Tonyi były już prawie polakierowane. Pomalowanie drugiej stopy zajęło Markowi około pięciu minut i dopiero wtedy wziął sok, który postawiła przy nim na stole.

– Dzięki.

– A teraz wujek powinien obciąć i pomalować paznokcie Lauren, prawda? – powiedziała Tonya.

– Nie, nie, zawsze robię to sama – zaprotestowała Lauren. I nie lakieruję ich na różowo, dodała w myśli.

– Ale ostatnio ich nie malowałaś! – Sonya wskazała na jej stopy obute w lekkie klapki. – No, wujku, do roboty! U nas wszystkie dziewczyny mają kolorowe paznokcie.

– O, nie! Dziękuję.

– Zadbaj choć raz o urodę – poradziła jej Tonya poważnym tonem.

Cóż mogła na to odpowiedzieć? Spojrzała niepewnie na Marka, który również wydawał się zmieszany.

– Ale nie muszę siadać na stole, prawda? – spytała.

– Jasne, że nie – odpowiedziała Tonya. – O, usiądź tutaj. – Podsunęła jej krzesło. – Chyba nie jesteś zmęczony, wujku?

Mark zrobił taką minę, jakby przez ostatnich parę godzin rąbał drewno albo pracował w kamieniołomach.

– Ee tam! Udajesz! – prychnęła Sonya.

Mark nagle odprężył się i uśmiechnął, a w jego oczach pojawiły się iskierki. Lauren bała się tego spojrzenia, zapraszało ono bowiem do niezbyt bezpiecznej zabawy, w której nie chciała brać udziału ze względu na jej erotyczny podtekst.

– Świetnie! Wspaniale! – ucieszyły się dziewczynki. Nikt nie pytał jej o zdanie i Lauren zrozumiała, że nie ma wyjścia. Bliźniaczki wskazały jej miejsce, a Mark wyciągnął rękę po stopę bratowej.

– Nóżki na stół – wycodził, mrugając okiem niczym prawdziwy król podziemia.

Jednak gdy tylko poczuła jego dotyk, zrobiło jej się gorąco. Mark pomachał w powietrzu flaszeczką z lakierem i powiedział:

– Mogę zaczynać, gdy tylko będziesz gotowa.

– Już jestem gotowa – odrzekła, starając się zapanować nad drżeniem

głosu.

Czy rzeczywiście była gotowa? Gdy tylko Mark dotknął jej nogi, dziwny prąd przebiegł po całym jej ciele. Potem mogło już być tylko gorzej. Robiło jej się to zimno, to gorąco. Nagle poczuła, że Mark przesuwając swoją dłoń wyżej, w kierunku jej uda. Kiedy ścisnęła nogi, poprosił ją, żeby tego nie robiła. Dźwięk jego głosu działał jak narkotyk.

Tymczasem rozbawione dziewczynki nie wiedziały, co się z nią dzieje. Siedziały obok i przekomarzały się beztrudnie. Słyszała ich głosy i rozumiała pojedyncze słowa, ale nie miała pojęcia, o czym rozmawiają.

– No i jak, fajnie? – Powtórzono trzykrotnie pytanie w końcu do niej dotarło.

– Fa... fajnie – odpowiedziała, usiłując nadać swojemu głosowi naturalne brzmienie. – Tyl... tylko trochę ła... łaskocze.

– No widzisz, a mnie nie łaskotało – powiedziała radośnie Tonya.

– A mnie tylko trochę, ale to było bardzo przyjemne – wtrąciła natychmiast Sonya.

– Właśnie pomalowałem pierwszy paznokieć – powiedział Mark. – Muszę zajmować się nimi dłużej, bo są większe.

Przerwał na chwilę i zanurzył pędzelek we flakoniku, jednocześnie opierając się o udo Lauren. Nie wiedziała, czy zrobił to specjalnie, ale efekt był piorunujący. Przez moment nie mogła w ogóle złapać tchu i nerwowo obciągnęła długi sweter.

Mark wziął jej stopę do rąk.

Tylko nie to! jęknęła w duchu.

Przez chwilę czuła dotyk jego palców. Miała wrażenie, że powietrze jest naładowane erotyzmem, i dziwiła się, że Sonya i Tonya tego nie czują. Lauren stanowczo wolałaby traktować ten pedicure jako rodzaj rodzinnej przysługi, ale... niestety nie mogła.

Cofnęła stopę i Mark znowu musiał ją upomnieć. Położyła ją więc na jego kolanach, modląc się, by ten zabieg skończył się jak najszybciej. Jednak Mark specjalnie wszystko przeciągał. Musiał czuć, co się z nią dzieje, i z premedytacją odgrywał rolę perwersyjnego pedikiurzysty.

Lauren powróciła myślami do wieczoru sprzed siedmiu lat. Wtedy też czuła Marka tak blisko siebie... Tak bardzo blisko... Czy to możliwe, że przesuwając dłonią wzdłuż jej łydek? Czy to możliwe, że dotykał wnętrza jej ud? I czy to on zaczął ją rozbierać, czy też wyobraźnia płatała jej figle?

Lauren jęknęła w nagłym przypiływie rozkoszy.

– Co się stało? – usłyszała głos Marka.

– Uszczypnął cię? – dopytywała się Tonya. – Mnie też czasami szczypie w pupę, kiedy jestem niegrzeczna.

– Nie, nie, to nic takiego. – Lauren była kompletnie wytrącona z

równowagi.

– Lewa stopa już skończona – oznajmił Mark.

– Dziękuję, pójdę już – szepnęła blada jak chusta Lauren. – Trochę źle się czuję.

– Zaczekaj! Przecież jeszcze jedna noga! – usiłowała ją zatrzymać Sonya.

Mark siedział nieporuszenie na swoim miejscu. Lauren cała drżała. Zdołała jednak zdjąć stopy z jego kolan i wsunąć je w klapki.

– Zaczekaj, lakier musi wyschnąć – pisnęła Tonya.

– Później, nie teraz, później – odpowiedziała na krążące w powietrzu, nieme pytanie Marka.

Lauren wstała i lekko zachwiała się. Mark natychmiast skoczył, żeby jej pomóc, ale wyszarpnęła mu się gwałtownie i podeszła do drzwi. Coraz śmielsze fantazje wirowały w jej głowie. Ona i Mark, złączeni wspólnym uściskiem, nareszcie swobodni i wyzwoleni, po tylu latach odnajdujący swe ciała... i dusze.

– Lauren! Przecież Mark musi ci pomalować paznokcie przy drugiej stopie, jeszcze nie jesteś elegancka! – upierały się bliźniaczki.

– Później, nie teraz, później – powtórzyła półprzytomnie. Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz, wiedząc, że Mark patrzy za nią z niepokojem.

– Co jej się stało? – westchnęła Sonya.

– Głupia, już nie pamiętasz, co mówiła Eddie? Lauren będzie miała dzidziusia i dlatego czasami jest jej gorzej – wyjaśniła Tonya. – Może zaraz poczuje się dobrze.

ROZDZIAŁ ÓSMY

„Popeliłem duży błąd, a Lauren jest zbyt zagubiona, żeby dostrzec to, co oczywiste. Potrzebuje mnie, ale mnie nie kocha. Jej serce bije tylko dla zmarłego męża”.

(Fragment z pamiętnika Marka Remingtona)

Lauren pragnęła Marka, lecz równie mocno obawiała się go. Dlatego sama pomalowała sobie paznokcie u prawej stopy, by nie narażać się na jego dotknięcie.

Natomiast Mark nie mógł zasnąć w ciągu dwóch kolejnych nocy. Przewracał się w łóżku albo siedział w fotelu przy oknie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Wciąż analizował to, co zaszło podczas pedikiuru. Nie ulegało wątpliwości, że Lauren go pożądała, nie wiedział jednak, co naprawdę o tym sądzić.

Być może była to dla niej tylko chwila słabości, o której szybko zapomniała... lub za którą znienawidziła go jeszcze bardziej. Mogło być jednak inaczej. Wyobraził sobie Lauren przewracającą się z boku na bok, nie mogącą dojść do ładu sama z sobą, miotającą się z powodu sprzecznych emocji... tak jak to działo się z nim.

Próbował przekonać siebie, że nie ma to żadnego znaczenia, bo i tak już na zawsze pozostaną dla siebie obcymi ludźmi. Gdy tylko będzie próbował zbliżyć się do Lauren, ona zawsze odtrąci go ze wstrętem, rzucając mu w twarz, że w ten sposób usiłuje odebrać „zapłatę” za udzieloną jej pomoc. Tak reakcja była bardzo prawdopodobna i, co gorsza, z pozoru w pełni uzasadniona.

Co więc mu pozostało? Podczas „zabawy” w malowanie paznokci Mark przekroczył pewną granicę i kto wie, czy nie doprowadził do ostatecznej katastrofy... Kochał jednak Lauren – i dlatego powinien czekać, być może bowiem jeszcze nie wszystko było stracone. Zachować dystans, nie dopuszczać do dwuznacznych sytuacji i obserwować. Lecz czyż nie łudził się tylko nadzieją?

Był na siebie wściekły. Tego ranka Lauren była tak radosna i odprężona, a do tego te rozchichotane i niczego nieświadome dziewczynki...

Co go, do diabła, podkusiło?!

Dobrze wiedział, co. Nagle powróciło wspomnienie tego, co zdarzyło się między nimi w pewną noc sprzed siedmiu lat. Okazało się, że pragną siebie jeszcze mocniej niż wtedy, i Lauren nie wytrzymała napięcia, przeraziła się niechcianego pożądania i uciekła.

To wydarzyło się przed dwoma dniami.

Czy wszystko więc jest już stracone? pomyślał z rozpaczą Mark.

Nie mógł dłużej wysiedzieć w swoim pokoju, szybko więc nałożył dżinsy i koszulę. Podszedł do otwartego okna i wyjrzał na zewnątrz. Noc była piękna i pogodna, lecz w oddali migotały błyskawice. Nad górami zebrały się ciemne chmury, które przesłoniły rozgwieżdżone niebo.

Burza mogła jednak w ogóle nie dotrzeć do Sunrise.

Postanowił zejść na dół i czegoś się napić, jednak przechodząc obok pokoju Lauren, zauważył uchylone drzwi. Wejście na taras również było otwarte. Zajrzał najpierw do pokoju, a kiedy stwierdził, że łóżko bratowej jest puste, skierował się na taras.

Robił to oczywiście tylko po to, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Lauren, ubrana w jasną koszulę nocną, stała przy barierce tarasu i patrzyła w niebo. Błada księżycowa poświata spływała na jej jasne włosy, co sprawiało wrażenie, jakby rozświetlało ją wewnętrzne światło. Była bardzo piękna i wprost nierealna.

Na tle gór wydawała się taka samotna. Patrząc na nią z boku, Mark odniósł wrażenie, że na twarzy Lauren zagościło cierpienie. Jak bardzo pragnął wziąć ją na ręce i ukoić jej ból...

Niestety, nie starczyło mu na to odwagi.

Skrzywił się boleśnie. Ileż to razy gazety wynosiły go pod niebiosą za brawurową jazdę, za szaleńczy i niedostępny innym brak lęku... a teraz umierał ze strachu, bojąc się podejść do kobiety, którą kochał.

Czy to znaczyło, że nie jest normalny?

Już od wczesnego dzieciństwa miał poczucie, że nie pasuje do innych ludzi. Bał się ich, chociaż zawsze go do nich ciągnęło. Kupno Sunrise też było swoistą ucieczką, dzięki temu znalazł się bowiem we własnym, wykreowanym przez siebie świecie. Nieprawdziwym, tak jak on sam.

Cóż z tego, że Lauren go pragnęła? Pożądanie i miłość to dwie zupełnie różne sprawy, których nie wolno ze sobą mylić. Lauren kochała Nate'a. Mąż był miłością jej życia i dlatego nigdy nie obdarzy prawdziwym uczuciem Marka, bo to po prostu jest niemożliwe. Byli przecież z bratem jak ogień i woda, jak ziemia i powietrze. Lauren mogłaby na krótko zostać jego kochanką, lecz po spełnieniu erotycznych pragnień ujrzałaby tylko pustkę, bo jej prawdziwą miłość zabrał ze sobą do grobu Nate.

To przesądza sprawę, pomyślał chłodno. Goniłem za mrzonką, za gwiazdką z nieba. Czas z tym skończyć.

Poczuł gwałtowne ukłucie w sercu. Była to bolesna chwila jasnowidzenia, podczas której Mark ujrzał jak w kalejdoskopie całe swoje życie, pełne chaosu i błędów. Zaczął cicho wycofywać się z tarasu.

– Nie odchodź – usłyszał cichy głos Lauren.

Odwróciła się do niego i natychmiast odczuł jej pożądanie. Przez ciemne

niebo przemknęła błyskawica, po chwili rozległ się grzmot. Mark wiedział, że popełnia wielki błąd, jednak nie potrafił uciec z tego miejsca.

– Czy coś się stało? – spytał.

– Nie, po prostu nie mogłam zasnąć. – Lauren westchnęła. – Mam dwadzieścia dziewięć lat, a sama nie wiem, czego chcę – poskarżyła się. – Czy to nie dziwne, Mark? Nie mogę poradzić sobie nie tylko z własnymi problemami i ze światem, ale również nie potrafię nazwać własnych uczuć. Wydawało mi się, że wszystko już jest ustalone, że moje życie potoczy się normalnym trybem, aż nagle... – zamilkła, szukając odpowiedniego słowa – taka zmiana. Olbrzymia zmiana.

Chciała powiedzieć „katastrofa”, lecz nie chciała urazić Marka.

– Rozumiem – powiedział cicho.

– Sama już nie wiem, kim jestem i co się ze mną dzieje – ciągnęła dalej. – Mam wrażenie, że otacza mnie pustka i że sama powoli staję się częścią tej pustki.

Mark przeszedł parę kroków i stanął tuż przed nią. Co miał jej powiedzieć? Że od wczesnego dzieciństwa czuł taką samą pustkę? Że przychodził znikąd i zmierzał donikąd? I że dlatego tak łatwo ryzykował swoje życie? Bo instynktownie szukał drogi do innego, lepszego świata? Bo szukał... śmierci? Był nikim i nie miał nic, nawet własnego nazwiska. Więc uciekał z tej strasznej krainy wszechogarniającej pustki.

– Rozumiem – powtórzył, wyciągając rękę, którą jednak szybko cofnął.

Jak to się stało, że właśnie Lauren, która miała kochających, czułych rodziców, tak bardzo zagubiła się w życiu? Mark z bólem musiał oskarżyć o to swojego brata. Nate otrzymał od losu brylant, lecz nie zadbał o to, by lśnił pełnym blaskiem.

Jednak brat się starał, dodał w duchu Mark. Jego rozpaczliwe finansowe wysiłki dowodziły, jak bardzo kochał Lauren. Nie rozumiał tylko, że wcale nie bogactwa pragnęła jego żona, lecz szczęśliwej rodziny.

Czy Mark mógłby jej teraz to zapewnić? Mój Boże, on? W jaki sposób?! Przecież zupełnie się do tego nie nadaje...

– Przez całe swoje życie czułam się bezpiecznie – powiedziała Lauren w nagłym przebiegu. – Okolica była bezpieczna. Szkoła była bezpieczna. Mogłam bez lęku bawić się w parku lub nad rzeką. Czy wiesz, że byłeś jedynym zagrożeniem w moim życiu? – Mark skinął głową. – Sąsiedzi wystosowali nawet ostry protest do władz dzielnicy, kiedy Remingtonowie cię zaadoptowali.

Nie miał o tym pojęcia, bowiem nikt z rodziny mu o tym nie powiedział. I dobrze, bo pewnie znowu by uciekł z domu.

– I nagle stałeś się moim przyjacielem – ciągnęła Lauren. – Niektórym dzieciom rodzice zakazywali bawić się z tobą, ale moi nigdy tego nie zrobili.

Mark o tym również nie wiedział. Dopiero teraz zrozumiał dziwne, jak

mu się wówczas zdawało, reakcje kolegów.

– Zawsze zdumiewała mnie twoja dzikość – mówiła dalej Lauren. – Otaczała cię jakaś dziwna aura. Gdybym nie знаła cię wcześniej, zanim jeszcze wprowadziłeś się do Remingtonów, pewnie bym się ciebie bała.

Mark uśmiechnął się, gdy przypomniał sobie pełen lęku wzrok ośmioletniej dziewczynki.

– I tak się bałaś – rzucił.

– Ale nie aż tak bardzo – odparowała. – A potem, kiedy tata powiedział mi, że nie miałeś ojca, a matka cię biła, i że spałeś na ulicy, strasznie się rozplakałam. Pamiętasz, jak się wściekłeś, kiedy ci o tym powiedziałam?

– Nie potrzebowałem litości – mruknął niechętnie Mark, wiedząc, że to nieprawda.

– Obraziłeś się, ale po jakimś czasie znów zacząłeś do mnie przychodzić i zostaliśmy przyjaciółmi. – Lauren zamyśliła się na chwilę. Na jej jasnym czole pojawiły się dwie pionowe zmarszczki. – Zostaliśmy przyjaciółmi i byliśmy nimi aż do nocy przed moim ślubem.

Na moment zapadła krępująca cisza.

– Sama nie wiem, co się wtedy stało. – Lauren była ogromnie zmieszana, ale z determinacją postanowiła powiedzieć wszystko, co ją dręczyło. – Świetnie się bawiliśmy, a ja byłam ci wdzięczna za tę chwilę wytchnienia. Jednocześnie bałam się tego, co miało nastąpić. I wtedy... Ten pocałunek... – głos jej się zaczął łamać. – Wciąż myślę...

Dotknęła niepewnie swoich warg. Mark milczał, spięty do ostatnich granic.

– A potem poczułam cię na sobie. Sama nie wiem, dlaczego tak bardzo cię pragnęłam.

Obrazy z tamtej nocy znowu stanęły mu przed oczami. I znów poczuł się podniecony bardziej niż kiedykolwiek.

– Byłaś zmęczona – rzucił niepewnie. Potrząsnęła głową.

– Nie, to nie było tak. Ja naprawdę cię pragnęłam – powiedziała. – Twoje pieszczony bardziej mnie... pobudzały niż pieszczoty Nate'a. I to mnie przeraziło. Przerosło. Nie umiałam sobie z tym poradzić, i wtedy, i później, przez te wszystkie lata...

Nie miał odwagi się poruszyć, tylko chłonał słowa Lauren, wpatrując się w jej rozjaśnioną twarz.

– Więc uciekłam od ciebie – szepnęła. – Uciekłam do Nate'a. Zatrzasnęłam za sobą drzwi, bo nie potrafiłam siebie zrozumieć, nie pojmowałam, co się ze mną i we mnie dzieje. Ale za tymi drzwiami zawsze stałeś ty, bo nigdy tak naprawdę nie odszedłeś... – zakończyła cichym szeptem.

Zobaczył łzy spływające po jej policzkach i zrobił taki gest, jakby chciał je zetrzeć. Znowu jednak nie starczyło mu odwagi.

– Lauren, nie trzeba...

Pokręciła głową. Teraz, kiedy przeszła już przez najgorsze, wyznania same cisnęły jej się do ust:

– Nie mogłam o tobie zapomnieć. Próbowalam, ale nic z tego nie wychodziło. Wciąż o tobie myślałam. Nawet wtedy, kiedy kochałam się z Nate'em. – Potrząsnęła głową. – I czułam się strasznie, bo wiedziałam, że oszukuję was obu. Mark nie mógł się już powstrzymać. Dotknął delikatnie jej policzka, a po chwili trzymał Lauren w ramionach. Tulił ją do siebie i głaskał po włosach, chcąc uspokoić. Niestety, nie było to łatwe.

– Czasami miałam nadzieję, że uda mi się wszystko wyprostować – mówiła dalej, powodowana przemożną potrzebą. – Chciałam z tobą porozmawiać, wszystko wyjaśnić... ale ciebie nigdy nie było. Uciekałeś, uciekałeś jak zawsze. Choć wciąż widziałam ciebie... za drzwiami mojego domu.

Rozpłakała się na dobre i wtuliła głowę w jego koszulę. Mark w pierwszym odruchu chciał ją przeprosić, ale wiedział, że to nie ma sensu. Lauren miała rację. Unikanie problemów niczego nie rozwiązywało.

– Nate nigdy nie pytał, dlaczego nie przyjeżdżasz, nie komentował również, gdy wstawiałam w nocy, by pomyśleć o tobie i o tym, co między nami zaszło. Kochał mnie, nie pytając o nic.

Lecz jednocześnie żył w piekle zazdrości, dodał w myślach Mark. Inaczej nie podjąłby desperackiej próby wzbogacenia się na giełdzie. Podjął szaleńcze wyzwanie, choć z góry skazany był na klęskę. Do takich kroków popycha ludzi tylko prawdziwa, nie zaspokojona miłość. Niestety, nawet gdyby jakimś cudem Nate zdobył miliony, i tak nie osiągnąłby celu. Lojalność, przywiązanie i pełne oddanie – tylko tyle mógł otrzymać od żony, której serce, zdeptane i sponiewierane, po cichu cały czas biło dla innego mężczyzny... dla jego brata.

Lauren odsunęła się gwałtownie, przywarła do barierek i zapatrzyła się w rozświetlaną błyskawicami ciemność. Ogromne łzy płynęły po jej policzkach.

– Nate nigdy o nic nie pytał, bo wiedział, co się ze mną dzieje. Domyślał się, że coś między nami zaszło i że dlatego zerwałeś kontakty z rodziną.

– Lauren! – Chciał położyć dłoń na jej ramieniu, ale powstrzymał się.

– Czasami, kiedy pokazywali cię w telewizji, oboje oglądaliśmy to w milczeniu – dodała po chwili. – Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. A ja kupowałam magazyny, w których o tobie pisali. Czytałam wszystko. Głównie o twoich szalonych romansach i innych wyskokach.

Mark milczał. No cóż, przez lata był playboyem, rozbijał się po pijanemu, szalał w knajpach i podczas wyścigów. Był agresywny, nieokiełznany i nie liczył się z niczym i z nikim. Otaczała go zła, podniecająca wyobraźnię tłumów sława.

– A potem patrzyłam na Nate'a i myślałam, że popełniam błąd, wciąż

myśląc o tobie. Przecież miałam męża, który naprawdę mnie kochał.

– Lauren – powiedział raz jeszcze, wyciągając dłoń w jej kierunku.

Przesunęła się nieco dalej.

– W końcu zaczęłam cię nienawidzić – wyznała. Domyślił się tego już wcześniej. Najpierw podeptał jej uczucia, a potem zniszczył szczęście małżeńskie. A przecież zawsze ją kochał. Dlatego nigdy nie odwiedził Lauren i Nate'a. Gdyby byli szczęśliwi, trudno byłoby mu to znieść. A gdyby układało im się źle, winiłby za to siebie.

Odwróciła się i znowu stanęli twarzą w twarz. Lauren przestała płakać, ale usta jej wciąż drżały.

– A teraz Nate nie żyje. Już nigdy nie będę mogła mu powiedzieć, jak mi jest przykro i jak bardzo żałuję tego, co się stało. – Dotknęła swojego brzucha. – I nigdy nie dowie się o dziecku.

Zaśmiała się gorzko.

– Najgorsze jest to, że jestem od ciebie tak bardzo zależna – powiedziała ze smutkiem. – Zniszczyłeś moje życie, żeby teraz mi pomagać!

I jeszcze to, że pragnę cię tak mocno, dodała w myślach.

Zobaczyli błysk, a potem usłyszeli grzmot. Piorun uderzył gdzieś nieopodal. Zerwał się silny wiatr.

Oni jednak nie zwracali na to uwagi, chwila bowiem była szczególna. Lauren i Mark zdali sobie nagle sprawę, jak dziwnymi meandrami potoczyło się ich życie. Czy ponosili za to winę? Zapewne tak. Lecz nadal łączyło ich to samo pożądanie, które przed siedmiu laty doprowadziło do katastrofy. Od tej prawdy nie było ucieczki. Stali bez ruchu, wpatrzeni w siebie. Byli igraszką fatalnej, niszczącej siły, wobec której czuli się zupełnie bezradni. Nic między nimi nie było tak, jak powinno być między ludźmi, którzy siebie pragną.

Czy jednak naprawdę wszystko stracone? Mark tak bardzo chciał objąć Lauren, wyznać jej miłość i zaproponować wspólne długie, szczęśliwie życie... lecz czy ona nie odrzuci go, pomna krzywd, jakich od niego doznała? Czy nie zwycięży nienawiść?

Nie teraz, zdecydował po chwili. Chciał być dla niej lekarstwem, a nie trucizną. Musi działać powoli. Niczego nie wolno przyspieszać.

– Tak naprawdę czujemy do siebie tylko pożądanie – powiedział z wahaniem. – Zawsze kochałaś Nate'a, a wtedy, siedem lat temu, po prostu obudziłem w tobie kobietę. Na ogół fascynacja erotyczna towarzyszy miłości, ale między nami było inaczej. Wciąż brakuje ci Nate'a, a ja bardzo żałuję, że go straciłaś.

To nie miało sensu. Jego słowa były puste, bo nie do końca szczerze. Lecz jak wyplątać się z tej dziwnej gmatwaniny uczuć i emocji, która ich trojgu towarzyszyła przez tyle lat? Miłość, nienawiść, zdrada, zazdrość, wyrzuty sumienia...

– Masz rację, Lauren – dodał po chwili. – Zniszczyłem ci życie. Dlatego pozwól, że teraz przynajmniej częściowo to naprawię. I naprawdę niczego od ciebie nie chcę.

Gdzie jest prawda? Nie wiedział.

Delikatnie pogłaskał Lauren po policzku, widząc w jej oczach coś, co wydawało się mieszaniną bólu i niedowierzania.

– Jesteś zmęczona, idź już spać – powiedział, czując na twarzy pierwsze krople deszczu. – Rano wszystko wygląda lepiej.

Nie ruszyła się z miejsca, tylko wpatrywała się w góry, jakby tam, w dalekiej i dzikiej przestrzeni, szukała ratunku i ucieczki od problemów, które przerastały ją i niszczyły.

Świetnie ją rozumiał. Sam najchętniej osiodłałby narowistego ogiera i pogalopował wprost przed siebie, by nie myśleć o tym, co się wydarzyło. Nie myśleć. Oto tajemnica jego sukcesów sportowych. On nie uciekał przed rywalami, lecz przed samym sobą, przed ścigającymi go myślami. Dlatego mocniej niż inni naciskał pedał gazu.

Gdy Lauren obudziła się rano, była w znacznie lepszym nastroju. Oczywiście nic w jej życiu się nie zmieniło, lecz przynajmniej wszystko zaczynało wyjaśniać się i klarować. Chaos przemieniał się w zrozumiały, choć wciąż trudny do udźwignięcia ład. Dzięki swemu nagłemu wybuchowi zaczęła rozumieć siebie i swoje motywy. Nie dała się też zwieść słowom Marka, choć była pewna, że mówił szczerze.

Lecz to nie on zniszczył jej życie. Gdyby odepchnęła go na plaży lub obróciła wszystko w żart, Mark by jej nie pocałował i wszystko zostałoby po staremu. Oboje ponoszą więc taką samą winę za całe zło, które dotknęło ich troje. Taka jest prawda i trzeba będzie z nią dalej żyć.

Odetchnęła z zaprawioną goryczą ulgą. Przeszłości nie da się zmienić, jednak gdy w pełni się ją zrozumie, można ją oswoić.

Natomiast Lauren dręczyło co innego. Czy Mark rzeczywiście miał rację, gdy powiedział, że łączyło ich tylko pożądanie?

Nie dowie się tego od razu, a może nawet nigdy. Jednak wczorajsza, tak niezwykła i zupełnie spontaniczna rozmowa, uświadomiła jej, że jednak potrafią być z Markiem zupełnie szczerzy wobec siebie.

A to była naprawdę wspaniała wiadomość i Lauren, całkiem dla siebie niespodziewanie, poczuła dziwną lekkość w sercu.

Zrozumiała, że przez wszystkie lata małżeństwa nienawidziła nie Marka, ale siebie. Odetchnęła głęboko, tak jakby nagle otworzyła duszny pokój, w którym siedziała zamknięta przez długich siedem lat.

Zrozumiała też swoją winę wobec Nate'a. Powinna mu od razu opowiedzieć o tym, co zdarzyło się na plaży. Skoro tego nie zrobiła, znaczyło to, że... zależało jej na Marku. W innym wypadku na pewno by nie milczała.

Czy Nate wybaczyłby jej?

Nie, to nie tak, ona przede wszystkim musi wybaczyć sama sobie, pogodzić się z sobą i zaakceptować własne uczucia. Z pozoru to tak niewiele, naprawdę jednak wymagało dużej odwagi, której wciąż jej brakowało. Lecz musi się na to zdobyć, bo inaczej do śmierci tkwić będzie w przeszłości. A Lauren rozpaczliwie pragnęła rozpocząć nowe życie.

A więc dobrze, zacznijmy tę spowiedź, pomyślała.

Starła się być najlepszą żoną, była czuła, wierna i oddana. Kochała Nate'a... jak umiała. Niczego nie można było jej zarzucić.

Co więc naprawdę wydarzyło się między nią a Markiem? Czy rzeczywiście była to jedynie gra zmysłów, czy może coś więcej? Wiedziała, że od tej odpowiedzi zależą jej dalsze losy. Pogodziła się już z tym, że pragnie Marka od zawsze. Ale czy kryje się za tym prawdziwa miłość?

– Nie wiem – szepnęła do siebie, wstając wolno z łóżka.

W ostatnich tygodniach, w wyniku zaawansowanej ciąży poruszała się wolniej i z pewnym wysiłkiem. Tak, musi się przede wszystkim skupić na dziecku.

Jednak myśl o Marku nie dawała jej spokoju.

Doktor Turner, miejscowy weterynarz, wyjechał dopiero koło północy. Jeden z młodych ogierów zaplątał się w ogrodzenie, które już dawno wymagało naprawy. Na szczęście rana nie okazała się zbyt groźna, choć wymagała wielu szwów.

Mark odetchnął z ulgą i wszedł tylnym wejściem do domu. Chciał jak najszybciej wziąć prysznic. Kiedy się wykapał i wytarł włochatym ręcznikiem, pomyślał, że najchętniej paradowałby nago, aby ochłodzić zmęczoną skórę. Jednak ze względu na dziewczynki – któraś mogła się przecież obudzić i przyjść do kuchni po szklankę wody – nałożył dzinsy.

Gnany wilczym apetytem, ruszył do kuchni, od popołudnia bowiem nic nie jadł, zaaferowany wypadkiem ogiera.

Kiedy przechodził przez ciemne pomieszczenia i korytarze, odkrył, że nie jest jedynym nocnym markiem. Ktoś jeszcze kręcił się po domu.

Mark zatrzymał się gwałtownie. Do licha, nie miał ochoty na kolejne nocne spotkanie.

Lauren właśnie otwierała drzwi na taras. Miała na sobie niemal przezroczyście koszulę nocną.

I nagle Mark poczuł, że znowu jej pragnie. Mimo widocznej ciąży była tak piękna i pociągająca... Pragnął całować jej piersi, poczuć jej ciało. Lauren była już prawie w siódmym miesiącu ciąży i nie wiedział, czy mogliby się jeszcze kochać.

Do diabła! Co za myśli chodzą mu po głowie!

Mark chciał oddalić się niepostrzeżenie i przejść do kuchni inną drogą, lecz Lauren, wychodząc na taras, potknęła się.

Dopadł do niej w dwóch skokach.

– Nic się nie stało? – spytał.

– Mark?! – spytała przestraszona. – Co tutaj robisz? Przyjęła jednak ramię, które jej podał.

– Nic się nie stało? – zapytał raz jeszcze.

– Nie, nic. – Pokręciła głową. – Zdaje się, że zmienił mi się trochę środek ciężkości. Poza tym dziecko mnie kopie.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Masz na myśli Tonyę czy Sonyę? – dopytywał się. – To jakaś nowa zabawa? Już ja z nimi porozmawiam!

Lauren z uśmiechem pokręciła głową i położyła dłoń na swoim brzuchu.

– Moje dziecko – wyjaśniła. – Chcesz sprawdzić?

Gdy tylko jej dotknął, spłynęło na nią nagle błogie uczucie rozkoszy.

– Czujesz? – spytała ze ściśniętym gardłem.

– T... tak – odparł. – To normalne?

– Oczywiście. Każdy maluszek zaczyna rozrabiać już przed urodzeniem, ale to dziwne uczucie. A poza tym im dziecko większe, tym bardziej boli mnie kręgosłup.

Przez chwilę stali blisko siebie, a Mark trzymał dłoń na jej niemal nagim brzuchu. Czuł, jak Lauren drży, i sam znajdował się w niezwykłym, trudnym do określenia stanie.

Nagle podjął decyzję. Jego dłoń powędrowała do tyłu. Mark zaczął delikatnie ugniatać kręgosłup Lauren.

– Umiem robić masaż – zapewnił ją. – Oprzyj się o barierkę.

Jęknęła z rozkoszy, czując na sobie jego dłoń, a następnie odwróciła się posłusznie w stronę barierki. Mark miał w tej chwili przed sobą jej okrągłą, kształtną pupę, starał się jednak na nią nie patrzeć, tylko ugniatał miarowo plecy Lauren.

– Och, jak dobrze! – westchnęła.

– To świetny relaks – przyznał, starając się powstrzymać drżenie głosu.

– Taak! – jęknęła.

Powoli i systematycznie dotykał jej pleców, sprawiając Lauren prawdziwą rozkosz. Nagle poczuła, że coś w Marku pękło i jego ręce znalazły się tuż obok jej pełnych piersi. Pochyliła się, aby je poczuł. To wystarczyło, żeby obudzić w nim płomień pożądania.

– Powiedz, jeśli mam przestać – szepnął jej do ucha.

– Nie! Nie przestawaj!

Być może nie potrafiłby już się zatrzymać. Czuł Lauren tuż obok. Pieścił krągłe piersi, przylgnał do jej prawie nagiego ciała...

– Och, Mark! – westchnęła, kiedy pocałował ją w szyję, i odwróciła się do niego przodem.

Widział teraz jej zamglone rozkoszą oczy i rozpromienioną twarz. Nareszcie wiedział, że pragnie go tak jak on jej. Lauren sięgnęła od razu do zamka jego znoszonych dżinsów.

– Zaczekaj! – powiedział. – U mnie w pokoju. Okazało się jednak, że pokój Lauren jest bliżej. Wpadli więc tam i szybko zamknęli drzwi. Mark po namyśle przekręcił klucz w zamku.

Potem wziął Lauren na rękę i zaczął ją pieścić. Po chwili, zniecierpliwiony, uniósł jej cienką koszulę nocną i ściągnął ją przez głowę. Z zachwytem patrzył na wspaniałe wzgórze i doliny jej ciała. Wszystko to wyglądało wprost cudownie. Nawet wzgórek, który parę razy dziwnie się poruszył.

– Czy... czy możemy? – spytał ją. Natychmiast potrząsnęła twierdząco głową.

– Musimy tylko uważać i nie robić tego na leżąco. Wskazał niepewnie jej brzuch.

– Nie wiedziałem, że będę to kiedyś robił przy dzieciach – powiedział i oboje wybuchnęli śmiechem.

Lauren pchnęła go na poduszki, a następnie ściągnęła mu dżinsy. Przez chwilę wpatrywała się w jego wyprężony członek.

– Imponujący – skomentowała.

– Dotknij mnie, Lauren – poprosił.

Skinęła głową i dotknęła rękami jego owłosionej klatki piersiowej, a następnie przesunęła ręce w stronę brzucha. Mark myślał, że spali się w ogniu pożądania. Jednak to nie było wszystko. Po chwili poczuł, że Lauren bierze w usta jego męskość.

Wrażenie było piorunujące. Zapragnął jak najszybciej połączyć się kobietą, którą kochał przez całe swoje życie. Ułożył ją na pościeli, ale ona tylko pokręciła głową.

– Nie tak – szepnęła.

Czuła, że nie wytrzyma już dłużej. Pragnęła jak najszybciej poczuć w sobie Marka.

– Pokaż mi, jak – poprosił.

Przyklękła i rozszerzyła uda, tak, jak zalecał jej lekarz, chociaż zarzekała się, że tego nie potrzebuje. Mark dotknął delikatnie z tyłu jej kobiecości i poczuła, że jest już gotowa, aby go przyjąć.

– Teraz – szepnęła.

Mark klęknął tuż za nią i po chwili poczuła jego wyprężony członek. Tylko przez chwilę znajdował się na zewnątrz. Po chwili już był w niej, a Lauren miała wrażenie, że wznosi się aż na sam szczyt rozkoszy. Nagle

wszystko wokół zawirowało, a ona straciła poczucie miejsca i czasu. Leciała gdzieś, nie bardzo wiedząc, co się z nią dzieje. Dopiero po chwili poczuła, że Mark przyłgął do niej jeszcze mocniej. Jego mocne dłonie znowu ujęły jej piersi.

Lauren krzyknęła. Jęk rozkoszy rozdarł nocną ciszę. Na szczęście drzwi w tym starym domu były bardzo grube.

Kiedy w końcu Mark oderwał się od niej, chciała go błagać, żeby nie przestawał. On jednak nalegał, żeby odpoczęła. Ułożył ją na boku i ponownie zrobił masaż, a ona musiała przyznać, że jest to bardzo przyjemne.

Jednak nie tak przyjemne, jak...

Leżąc na boku, wyprężyła całe ciało, a Mark przytulił się do niej. Poczuła, że znowu jest gotowy. Chciała go mieć jak najszybciej w sobie, dlatego od razu rozchyliła mu uda. Wszedł w nią tak, jakby od dawna byli kochankami.

Lauren znowu krzyknęła i wyprężyła się, chcąc poczuć go jak najdokładniej. Tuż przy swoim uchu słyszała szybki oddech Marka. Obejmował ją tak, jakby była dla niego całym światem.

Nie miała już wątpliwości, że właśnie on stał się dla niej wszystkim i że pragnie go całego. Kochała Marka i nic nie było w stanie tego zmienić. Kochała go przez te wszystkie lata, nie wiedząc, co się z nią dzieje.

Jednak czy i on ją kochał?

Wyprężyła się raz jeszcze, czując, że Mark szczytuje. Orgazm, którego doznała, przyprawił ją o chwilowe pomieszenie zmysłów. Jednak później, gdy leżeli przytuleni do siebie, pocałowała go lekko w policzek.

Chciała mu coś powiedzieć, ale już spał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

„Przez moment czułem, że należy do mnie. Przez jedną słodką chwilę znajdowaliśmy się poza przeszłością, przyszłością i teraźniejszością. A teraz będę znowu musiał naprawić to, co zepsułem”.

(Fragment z pamiętnika Marka Remingtona)

Leniwe słońce z wolna zaczęło podnosić się nad Sunrise. Złote promienie kładły się na tapetach w sypialni Lauren, a następnie przesunęły się niżej, aby zaświetlić w jej pszenicznych włosach.

Lauren spała sama w swoim łóżku. Leżała z rozrzuconymi rękami. Usta miała lekko spierzchnięte od pocałunków, a twarz wciąż tchnęła wyrazem rozkoszy.

Mark odszedł dopiero rano. Stojąc w drzwiach, spojrzał na śpiącą Lauren. Miał ochotę raz jeszcze całować jej piersi i pieścić okrągłe ramiona, ale wiedział, że powinien jak najszybciej odejść.

Muszą oboje przemyśleć całą sytuację.

Przemyśleć, a potem pogodzić się z tym, że to, co się stało, oznaczało nie początek, ale koniec ich dziwnego romansu. Oboje długo czekali na ten finał. Całych siedem lat. Teraz Lauren na pewno dojdzie do wniosku, że wszystko między nimi jest już skończone.

Tak bardzo nie chciała się obudzić. Kiedy słoneczne promienie rozświetliły jej twarz, obróciła się na bok, kładąc głowę na ramieniu.

Mark siedział nagi w fotelu w swoim pokoju i patrzył na wschodzące słońce. Wciąż czuł na rozpalonym ciele zapach Lauren. Najchętniej wróciłby teraz do jej sypialni, jednak wiedział, że nie powinien tego robić.

Przed laty Lauren mogła wybierać między nim a Nate'em, lecz teraz Mark stałby się jedynie namiastką jej zmarłego męża. Nie chciał, aby duch jego brata rzucał cień na ten związek. A skoro tak, to rozwiązanie było tylko jedno. Muszą skończyć to, co ledwie między nimi się zaczęło.

Wstał i podszedł bliżej do okna. Ponieważ kowboje zaczynali się już kręcić przy stajniach, schował się za zasłonką. Nie chciał, żeby jego pracownicy zobaczyli gołego szefa.

Przez chwilę obserwował to, co się działo na dworze, a potem sięgnął po ubranie.

Nagle uderzyła go myśl, że po prostu uwiódł Lauren. Miał na to ochotę już od dawna, a teraz w końcu zrealizował swój plan.

Nie, nie, to nie takie proste. Przecież wcale nie zamierzał tak postąpić, choć podświadomie zawsze tego pragnął.

Co będzie, kiedy Lauren się obudzi? Pewnie znienawidzi go jeszcze

bardziej.

Mark zaklął pod nosem. Dopiero w tej chwili zaczynał rozumieć, co tak naprawdę się stało. Postawił Lauren w bardzo niezręcznej sytuacji i na pewno będzie teraz chciała odejść, choć nie ma dokąd. Jest zrujnowana i tylko Mark może jej pomóc, co w obecnej sytuacji będzie przez nią źle rozumiane. Te przekłete pieniądze!

Może jednak życie jakoś się tu ułoży? A jeśli jeszcze wszystko przed nimi? Mark wpadał z jednej skrajności w drugą.

Wiedział jedno: robi, co w jego mocy, by Lauren tutaj została.

Nawet niech go nienawidzi, lecz niech będzie przy nim. Tęsknił również do jej nie narodzonego dziecka. To już za niecałe trzy miesiące... Czy to możliwe, aby Lauren była tu tak długo? Kilka miesięcy zleciało niczym jeden dzień.

Po chwili pomyślał, że Lauren nie zna jeszcze prawdy o mieszkankach tego domu, a skoro należy do społeczności Sunrise, powinna wiedzieć o tym, co się tu dzieje. Tylko czy wtedy jeszcze bardziej go nie znienawidzi?

Ubrał się i wyszedł na podwórko. Nie, dzisiaj zupełnie nie nadaje się do pracy, a jego ludzie i tak sobie ze wszystkim świetnie poradzą.

Potrzebował odprężenia. Szybkim krokiem ruszył do garażu i już po chwili piaszczystą drogą mknął swym dodge'em ku góróm.

W tym czasie Lauren przeciągnęła się i otworzyła jedno oko. Zamknęła je szybko, a następnie ziewnęła. Powoli docierało do niej to, co wydarzyło się wczoraj w nocy.

– Mark? – powiedziała, wyciągając rękę w bok. – Mark, gdzie jesteś?

Usiadła i otworzyła oczy. Marka nie było w łóżku. Złote słońce pyszniło się za oknem niczym gigantyczny słonecznik.

Lauren siedziała na trawie obok Sonyi, która bawiła się z kociętami, natomiast Tonya pobiegła do szopy w poszukiwaniu kocięj mamy.

– Ojej, jak łaskocze! – pisnęła dziewczynka, czując szorstki języczek na swojej ręczce. – Lauren, chcesz zobaczyć? One na pewno są głodne.

Lauren pogłaskała kotka z nieobecny uśmiechem na ustach.

– Zaraz przyjdzie Tonya z kotką – zapewniła dziewczynkę.

Mark, nic jej nie mówiąc, wyjechał na trzy dni. Nikt nawet się nie domyślał, dokąd i po co się udał, tylko Eddie uspokajała Lauren, że „ten pędziwiatr miewa czasami takie napady, ale szybko mu przechodzi”.

Lauren czekała na telefon, ale Mark nie dzwonił. Ostatni raz widziała go, gdy szczęśliwy zasypiał w jej łóżku, a teraz... Naprawdę nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić.

Na pewno jednak nie chodziło o seks. Ta noc, którą spędzili razem, była naprawdę cudowna.

O co więc chodziło? Czyżby o ich rodzinne sprawy? O to, że Mark czuł się winny wobec Nate'a?

Lauren, po gruntownym przemyśleniu swojego dotychczasowego życia, zaakceptowała w pełni to, co ostatnio wydarzyło się między nią a Markiem.

Siedem lat temu dała się złapać w pułapkę i nie miała żadnych szans, by się z niej wydostać. Była to jej porażka, z której nie do końca zdawała sobie sprawę. Jednak wraz z Nate'em, mimo wszelkich komplikacji, udało im się stworzyć dom, który można było nazwać szczęśliwym.

Śmierć męża była smutnym wydarzeniem, lecz coraz bardziej oddalała się w czasie. Fatalny trójkąt: dwaj bracia i ona, przestał istnieć nie tylko faktycznie, ale również w psychice Lauren, co miało olbrzymie konsekwencje. Tak dotychczas zagubiona i niepewna swych emocji, Lauren mogła wreszcie przyznać się sama przed sobą, że kocha Marka i że pragnęła go przez wszystkie te lata.

Ta noc miała być początkiem nowego życia, lecz oto Mark uciekł. Dlaczego? Czyżby teraz z kolei on nie potrafił zaakceptować prawdy o sobie i Lauren? Czy był aż tak ślepy? Nie, to niemożliwe, przecież uparcie i cierpliwie dążył do ich zbliżenia. Co więc się stało?

Wiedziała tylko tyle, że Mark zawsze uciekał od kłopotów. Może więc teraz postanowił zrobić to samo?

No dobrze, ale przecież on uciekł po nocy, która miała położyć kres wszelkim problemom, czyli wymazać niszczącą przeszłość i stworzyć dla nich obojga początek nowego życia!

Lauren była naprawdę zdezorientowana. Zaczęła rozumieć siebie, ale nadal nie mogła pojąć zachowania Marka.

– Lauren! Lauren! Chcesz wziąć go na ręce?! – To Sonya targała ją za rękaw. – Ten szary jest najmilszy, popatrz!

Z trudem wracała do rzeczywistości.

– Tak, już... – szepnęła przytomnie i przyjęła puszystą kuleczkę z rąk dziewczynki.

Sonya promieniała szczęściem.

– Jest wspaniały, prawda?

Lauren skinęła głową i przytuliła do piersi kotka, który zaczął cichutko mruzczyć.

– Widzisz, jest mu dobrze u ciebie! Jest naprawdę szczęśliwy!

Lauren stwierdziła ze smutkiem, że jest jeszcze ktoś, komu powinno być przy niej dobrze. Wciąż na niego czekała, nie mając pojęcia, ile to może potrwać.

Mark wrócił na ranczo około drugiej w nocy. Zaczął właśnie padać ciepły deszczyk. Świetnie robi liliom Lauren, pomyślał.

Odstawił wóz do garażu i ruszył do drzwi wejściowych. Cieszył się, że

znowu jest w domu, jednak bał się spotkania z Lauren. Spojrzał w okna jej sypialni i stwierdził, że są ciemne. Przy takiej pogodzie nie wyszła z pewnością na taras. Miał nadzieję, że od dawna już śpi.

Chciał tę rozmowę odłożyć do jutra, wiedział jednak, że nadszedł już czas, aby wyznać całą prawdę. Wóz albo przewóz. Nie miał pojęcia, jak Lauren zareaguje na to, co jej powie. Przyjaźnie, czy wrogo? Ze zrozumieniem, czy niechęcią? A może zupełnie obojętnie, uznając, że Mark i ona nie mają przed sobą żadnej przyszłości?

To będzie jutro. Odpędził ponure myśli i głęboko wciągnął cudownie orzeźwiające powietrze. Szedł wolno, czując na skórze krople deszczu. Przypominało to pieszczotę. Pocałunek matki natury... pocałunek Lauren.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak wspaniale. Jaka szkoda, że zawsze, nawet teraz, stał między nimi jego brat.

Wreszcie wszedł do środka. Czuł się zmęczony, więc od razu poszedł na górę.

Kiedy przechodził obok sypialni Lauren, na moment zatrzymał się. Nawet nie przypuszczał, że w głowie wciąż kłębią mu się fantazje erotyczne.

– Do licha! – szepnął do siebie.

Potrząsnął głową i ruszył w dalszą drogę. Do jego sypialni było dosłownie kilka kroków, ale coś go ciągnęło do drzwi Lauren.

Wchodząc do siebie, uśmiechnął się pod nosem. Ciekawe, co by powiedziała Lauren, gdyby obudził ją w środku nocy. Z całą pewnością rozkwasiłaby mu nos albo rozwalila głowę.

Nie zapalał światła. Rozebrał się i umył przy mdłym świetle lampy padającym z podwórka. Następnie wyjrzał jeszcze na zewnątrz. Deszcz przestał już padać, ale było wciąż było mglisto.

Jutro czeka go rozmowa o bliźniaczkach i Eddie.

Jutro wszystko się zdecyduje.

Jutro znowu stanie się dla Lauren kimś obcym.

Położył się do łóżka i natychmiast zasnął.

Rano mgły zaczęły opadać i promienie słoneczne szybko znalazły sobie między nimi drogę. Mark zszedł do kuchni, gdzie Eddie najpierw wygłosiła dłuższe kazanie, a następnie uściskała go na powitanie. Ona jedna rozumiała, co się z nim działo.

Następnie na dół zbiegły bliźniaczki, które najpierw go obcałowały, a potem zażądały prezentów. Na szczęście pamiętał, żeby coś dla nich kupić. Dziewczynki, które dostały dwie malutkie laleczki, były zachwycone. Mark poczuł, że wszystko jest tak jak zawsze.

Cieszył się tym jednak tylko do momentu, kiedy Lauren zeszła na dół.

Najpierw zatrzymała się w drzwiach, starając się ukryć zdziwienie na

widok przybysza.

– Cześć – powitała wszystkich przez zaciśnięte gardło i podeszła do lodówki, starając się ominąć Marka jak największym łukiem.

Nawet bliźniaczki wyczuły, że dzieje się coś dziwnego i przestały szczebiotać. Eddie obserwowała całą scenę, stojąc przy ekspresie.

Lauren była bardzo zdenerwowana. Mimo iż starała się to ukryć, Mark zauważył, że drżą jej ręce.

Natychmiast poczuł się winny. Pomyślał, że nie pierwszy raz skrzywdził Lauren, ale nie wiedział, czy mu teraz wybaczy. Eddie natychmiast zajęła się dziewczynkami.

– Sonyu, Tonyu, kończymy śniadanie – zakomenderowała. – Ja dzisiaj odwożę was do szkoły. Mam w mieście parę spraw do załatwienia.

– Już, babciu! – jęknęła Tonya, która zwykle unikała tego słowa.

– Tak, tak, już idziemy – załagodziła sytuację Sonya. Dziewczynki szybko wyśliznęły się z kuchni, a za nimi podążyła Eddie. Mark i Lauren zostali sami. W milczeniu stali naprzeciw siebie, słuchając tykania zegara i odgłosów dobiegających od stajni.

W końcu Mark odważył się spojrzeć w oczy Lauren. Zobaczył w nich zdziwienie i ból.

– Dlaczego? – spytała.

Było to jedno z tych pytań, na które nie znał odpowiedzi. Mógł jej się tylko domyślać. Przez chwilę uległ pokusie i chwyciwszy w dłoń swój kapelusz, podszedł do drzwi.

– To wszystko? – zadała następne pytanie.

Poczuł ogromny wstyd. Odłożył stetsona i ponownie spojrzął jej w oczy.

– Przykro mi, Lauren. Potrząsnęła gniewnie głową.

– Nie, nie! Nie zostawaj! To nie ma sensu! Uciekaj! Uciekaj tak jak zawsze! Wcale mnie nie interesuje, co masz do powiedzenia i dlaczego jest ci przykro!

Przestępował z nogi na nogę, czując się jak uczeń, nagle wywołany do odpowiedzi. Co ja, do diabła, wyrabiam, pomyślał ze złością. Zachowuję się jak smarkacz.

Zebrał się w sobie.

– Miałaś rację. Powinniśmy porozmawiać – stwierdził, skinąwszy głową.

Spojrzała na niego chłodno.

– Tak, trzy dni temu!

Mark wciągnął powietrze głęboko do płuc.

– To prawda. Popełniłem błąd, wyjeżdżając – przyznał.

– Jednak wróciłem i teraz chcę z tobą porozmawiać.

Ujął ją za ramię, a ona nie protestowała. Poprowadził ją do stołu, przy którym usiedli.

– Jestem gotów odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania – powiedział. – Oczywiście, jeśli będę znał odpowiedź.

Lauren zmarszczyła brwi. Przez chwilę milczała, zastanawiając się, czy warto to wszystko zaczynać. Mark wystąpił już kiedyś z taką propozycją, ale nie skorzystała wtedy z jego oferty. Jednak teraz wiele się zmieniło. Sama czuła, że powinna poznać prawdę.

– Czy to są twoje dzieci? – spytała w końcu, patrząc mu prosto w oczy.

Mark nie spodziewał się tego pytania, rozumiał jednak, że ta sprawa interesuje Lauren.

– Nie, nie jestem ojcem Tonyi i Sonyi – powiedział, żeby wszystko było już jasne.

W oczach Lauren odmalowała się ulga, pomieszana jednak z niedowierzaniem.

– Dziewczynki są tak bardzo do ciebie podobne. Mark skinął głową.

– To prawda – przyznał – rodzinne podobieństwo. Sonya i Tonya są córkami mojego brata.

Lauren aż otworzyła usta ze zdziwienia. Miała nadzieję, że Mark pomoże jej wszystko zrozumieć, a tymczasem czuła się jeszcze bardziej zagubiona.

– Ale przecież... Ale Nate... – wydukała tylko.

Mark zebrał się w sobie. Musi wszystko wyjaśnić od początku. Wóz albo przewóz, pomyślał. Lauren widziała, jak trudno jest mu mówić o tych sprawach, jednak nie rozumiała jeszcze, dlaczego.

– Mówię o moim biologicznym bracie, chociaż Nate zawsze był mi bliższy – zaczął. – Ray, to znaczy Raymond, urodził się już po mojej ucieczce z domu, więc właściwie go nie znałem.

Lauren była bardzo zaskoczona. Mimo że przyjaźnili się od dzieciństwa, nie miała pojęcia, iż sytuacja rodzinna Marka była aż tak skomplikowana.

Mark wstał i położył jej dłoń na ramieniu.

– Chodźmy na taras – zaproponował, czując, że kuchnia zrobiła się nagle za ciasna.

Lauren wstała i skierowała się do drzwi. Patrzył na nią od tyłu i myślał o tym, jak bardzo ją kocha. Przez siedem lat starał się zabić to uczucie, lecz kiedy Lauren znalazła się blisko, zdeptana miłość odżyła nagle z jeszcze większą siłą. Czy Lauren zrozumie, dlaczego nie ma prawa jej kochać? Czy pojmie jego historię?

– Usiądź – poprosił, gdy znaleźli się na dolnym tarasie. Zasiadła ostrożnie w wyplatany rattanowy fotel.

– Jak zapewne wiesz, Remingtonowie wzięli mnie prosto z ulicy. – Mark podjął swoją opowieść. – Uciekłem z domu, a moja matka wyrzekła się mnie, kiedy pojawiła się u niej policja. Właśnie dlatego Remingtonowie mogli od razu załatwić pełną, bezwarunkową adopcję.

– Wychowywali również Nate’a. Sprawdzili się – dodała, przypominając sobie to, co mówił ojciec.

Mark skinął głową.

– To też. Ale pamiętaj, że Nate pochodził z normalnej rodziny. – Zamyślił się na chwilę. – Matka nigdy mnie nie kochała, byłem zły, krnąbrny i zamknięty w sobie, aż wreszcie, gdy znalazła się w trudnej sytuacji, postanowiła się mnie pozbyć. Zaszła w ciążę nie wiadomo z kim i za parę miesięcy miała urodzić kolejne dziecko. To był dla niej nowy kłopot.

– Nie wiedziałam! – wykrzyknęła Lauren.

– Ja też – powiedział z goryczą. – Szybko dałem się uwieść miłemu życiu u Remingtonów, chociaż wciąż się bałem, że się ten piękny sen w każdej chwili może się skończyć. Sądziłem, że Remingtonowie znudzą się mną i znowu znajdę się na ulicy.

Spojrzała na niego ze współczuciem. Mark nigdy nie zwierzał jej się z tego.

– Wiele osób dziwiło się, że wycofałem się z wyścigów dwa lata temu – podjął po chwili. – Zrobiłem to, kiedy uświadomiłem sobie, że szaleńcza jazda jest dla mnie ucieczką. Okazało się też, że mam obowiązki.

– Obowiązki? Jakie obowiązki? – zdziwiła się. Z trudem nadażała za tokiem jego rozumowania.

Mark wiedział, że mówi nieskładnie. Powinien jej wszystko spokojnie wytłumaczyć, ale cała sprawa zbyt go dotyczyła, by mógł kontrolować swój sposób mówienia.

– Wobec przybranych córek – odparł.

– Po to, żeby spłacić dług wobec Remingtonów, wystąpiłeś o adopcję?

Mark pokręcił głowę.

– Nie musiałem. Opieka społeczna sama mi ją przyznała. Jestem najbliższym krewnym.

Lauren zrobiła wielkie oczy.

– Czyim?

Mark miał wrażenie, że cała historia wydaje się coraz bardziej pogmatwana. Skoro jednak już zaczął mówić, musi wszystko od początku wyjaśnić Lauren. Może wtedy zrozumie, dlaczego nie może poświęcić się tylko jej, chociaż bardzo tego pragnie.

– Zaczekaj, może ja najpierw powiem, co mam do powiedzenia. Pytania później. Dobrze?

Lauren skinęła głową, czując, że inaczej nie dowie się niczego sensownego.

– Wiesz już, że kiedy Remingtonowie mnie przyjęli, moja matka była w ciąży. Mój brat Ray ma teraz dwadzieścia jeden lat.

– To dlaczego dziewczynki są u ciebie? – nie wytrzymała Lauren.

– Dlatego że Ray, ich ojciec, jest w więzieniu. Ma do odsiedzenia trzydzieści lat za brutalny napad i handel narkotykami.

– Och! – westchnęła Lauren.

– Mój brat nie miał tyle szczęścia, co ja – ciągnął Mark. – Nie znalazł nikogo, kto mógłby mu pomóc. Żył na ulicy. Kradł i handlował czym się dało. W końcu trafił do komuny hippisów, do której uciekła też córka Eddie.

– Córka Eddie? – powtórzyła zdezorientowana Lauren.

– Tak. Miała wtedy czternaście lat, a Ray piętnaście. To wówczas zaczęli kombinować z narkotykami. Ojciec Doreen zmarł, Eddie zaczęła pracować i nie miała czasu, żeby pilnować córki. W tej chwili nawet nie wie, gdzie Doreen się podziewa.

Lauren skinęła głową. Nareszcie stało się jasne, dlaczego dziewczynki nazywają Eddie babcią.

– Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś? Mark wzruszył ramionami.

– Mówiłem ci już. Przez opiekę społeczną – odparł. – Jesteśmy z Eddie najbliższymi krewnymi dziewczynek. Gdy się urodziły, ich matka miała piętnaście lat. Możesz sobie wyobrazić, jak to wyglądało.

Piętnaście lat!? Matka bliźniaczek sama była wtedy jeszcze dzieckiem!

– Czy... czy widziałeś się ze swoim bratem? – niepewnie zadała następne pytanie.

Mark posmutniał i skinął głową. Usiadł obok Lauren i spojrzał w przestrzeń.

Jego brat czekał w sali widzeń, odgradzony pancerną szybą. Mark spojrzał w oczy Raya i odniósł dziwne wrażenie, jakby przeglądał się w lustrze. Lecz podobieństwo było tylko pozorne, bowiem we wzroku więźnia czaił się straszliwy, stalowy błysk okrucieństwa i wrzała nienawiść do całego świata. Ray był socjopatą zdolnym do popełnienia najpotworniejszych czynów. Mark pomyślał, że gdyby nie Remingtonowie, on też mógłby skończyć w ten sam sposób.

– Niczego mi wtedy nie wyjaśnił – odparł, chociaż potok wulgarnych i nabrzmiątych wściekłością słów wciąż dźwięczał w jego głowie.

– Jakie dziewczynki? – syczał brat. – Nie wrobisz mnie w żadne dziewczynki!

– To są twoje córki, Ray.

Twarz brata wykrzywiła się w nagłym grymasie.

– Nic mnie nie obchodzą. – Zbliżył twarz do pancernej szyby. – I ty też, pieprzony braciszku. Spływaj stąd! Nie chcę cię więcej widzieć!

Mark postanowił, że nie wybierze się już więcej do więzienia. Wiedział, że brat nie będzie już nigdy normalnym człowiekiem. Jeśli nawet otrzyma warunkowe zwolnienie, na zawsze pozostanie przestępcą.

Tym bardziej bolało go, że stracił kontakt z Nate'em, bowiem tylko jego

mógł traktować jak prawdziwego brata.

– Czy to już cała historia? Mark skinął głową.

– Teraz wiesz już wszystko.

I możesz mnie jeszcze mocniej znienawidzić, dodał w myślach. Żadna rozsądna kobieta nie będzie chciała wiązać się z człowiekiem z nizin. Z kimś, kto ma brata w więzieniu.

– A gdzie jest matka dziewczynek?

– Doreen? – Mark wydał policzki, a następnie wypuścił z nich powietrze, jakby ktoś przekłuł balon. – Tu albo tam. Wynająłem nawet detektywa, który ją odnalazł, ale potem i tak się gdzieś przeniosła. Pewnie jest zadowolona, że ma dzieci z głowy, a i dziewczynkom na niej nie zależy. Pamiętają, jaka była. Tutaj znalazły miłość i opiekę.

– Ale gdyby matka się odnalazła, musiałyby do niej wrócić – wtrąciła Lauren.

Mark pokręcił głową.

– Na szczęście parę razy weszła w konflikt z prawem. Była oskarżona w procesie Raya, ale wykręciła się sianem. Oboje z Eddie jesteśmy jedynymi prawnymi opiekunami Sony i Tony. I oboje bardzo je kochamy – zakończył.

Nie musiał tego mówić, Lauren i tak o tym wiedziała. Powoli zaczynała rozumieć jego sytuację, chociaż z pewnością minie trochę czasu, zanim pojmie ją w pełni.

Mark wstał i podszedł do drzwi.

– Nie odchodź – poprosiła.

On jednak był już na korytarzu. Czuł wstyd. Wprawdzie Lauren wołała za nim, lecz on szedł coraz szybciej. Po chwili znalazł się na dworze i przeszedł do stajni.

Wziął pierwszego osiodłanego konia. Jak to miał w zwyczaju, postanowił uciec. Przypomniawszy sobie wczorajszy dzień i złamane postanowienie. Czy to wszystko miało sens?

Lauren wciąż siedziała na tarasie, zastanawiając się nad tym, co usłyszała od Marka. Jego brat był notorycznym przestępcą, skazanym na wieloletnie więzienie. Była to dla niej zupełna egzotyka. Bandytów oglądało się na filmach, ale w prawdziwym życiu nigdy się nie pojawiali. Jeżeli jednak ktoś ma w rodzinie kryminalistę, to na pewno wstydzi się i stara się ukryć ten fakt przed światem. A jeśli Ray poprzysiągł zemstę swoim najbliższym, bo oskarża ich o swoje wszystkie niepowodzenia? Dziwne postępowanie Marka zaczynało powoli nabierać sensu.

Bał się, że zostanie odepchnięty.

Szybko też domyśliła się, że Mark pojechał do więzienia, aby odwiedzić brata. Po tym, co się stało, być może chciał się przekonać, że Ray jednak nie jest

potworem, a tylko głęboko nieszczęśliwym człowiekiem. Rozpaczliwie szukał dowodów, że jego rodzina, choć wykolejona, jednak jest coś warta i w konfrontacji z rodziną Lauren...

Boże, jak on się straszliwie miota, pomyślała. A Ray na pewno znów obrzuci go stekiem wyzwisk...

Zresztą nie miało to tak naprawdę znaczenia, ponieważ Lauren kochała Marka, a nie jego rodzinę. Cała złość spłynęła z niej i zamieniła się we współczucie. Domyślała się, jak bardzo Mark cierpi z powodu Raya. Obaj mieli równie paskudny życiowy start, lecz Markowi dopisało szczęście, a jego bratu go zabrakło. I teraz Mark na pewno zadrećza się pytaniem, dlaczego tak musiało się stać.

Lauren przeszła do kuchni, by zjeść śniadanie. Po chwili dołączyła do niej Eddie. Obie kobiety pograżyły się w rozmowie.

Lauren jeszcze raz wysłuchała całej historii, dużo jednak obszerniejszej i opowiedzianej z nie skrywanymi emocjami. Eddie była bardzo inteligentna i doskonale wiedziała, co przeżywał Mark.

Lauren ze zdziwieniem zauważyła, że nagle zaczyna czuć się winna. Spośród ich piątki, licząc Sonyę i Tonyę, tylko ona miała prawdziwy, pełen ciepła dom. Jej rodzice nie byli szczególnie bogaci, ale też nie borykali się z problemami finansowymi, a mama zawsze miała dla niej czas.

Mark nie wspominał o tym, że Eddie wychowywała się w sierocińcu.

– Popełniłam błąd, wychowując córkę – przyznała z bólem. – W sierocińcu tak bardzo brakowało mi różnych rzeczy, że przyjąłam za punkt honoru, aby moja córka miała wszystko, czego tylko zapragnie.

Słuchając jej, Lauren pomyślała, że w ciągu ostatnich miesięcy naprawdę dużo się nauczyła. Zapłaciła za to ogromną cenę, jej mąż nie żył, a ona była zrujnowana finansowo, lecz dzięki temu tak wiele zrozumiała.

Położyła rękę na brzuchu, czując ruchy dziecka.

Jakie będzie? Co się z nim stanie? Nie знаła odpowiedzi na te pytania, ale wiedziała, że zrobi wszystko, by jej dziecko wyrosło na dzielnego i uczciwego człowieka.

Po rozmowie z Eddie poczuła się silna i pewna siebie. Nareszcie wiedziała, czego chce. Będzie tylko potrzebowała czasu, by przekonać do tego Marka.

Tegoroczne Święto Dziękczynienia należało do wyjątkowo udanych. Dom zaroił się od ludzi. Przyjechali zarówno rodzice Lauren, jak i Marka, a także sporo kuzynek i kuzynów. Eddie miała pełno roboty w kuchni i tak naprawdę po raz pierwszy potrzebowała pomocy Lauren, a nawet wciąż chichoczących dziewczynek.

Lauren pomagała, jak mogła, chociaż pracowało jej się coraz trudniej. No,

może poza porządkowaniem notatek Marka, co mogła robić na leżąco. Jego biuro na szczęście już dawno doprowadziła do porządku.

Lauren starała się jak najczęściej rozmawiać z Markiem, jednak on wyraźnie jej unikał. Choć było jej przykro z tego powodu, dobrze rozumiała, że musi upłynąć jeszcze trochę czasu, by Mark doszedł z sobą do ładu. Na razie sprawiał wrażenie kogoś, kto myślami znajduje się w innym wymiarze, a po ziemi stąpa tylko przypadkiem. Lauren uśmiechała się więc do nieprzytomnego kowboja i cierpliwie czekała.

Jednak Mark starał się być dla wszystkich miły, a już zwłaszcza dla swoich przybranych rodziców. Być może po raz pierwszy w życiu zrozumiał, ile tak naprawdę im zawdzięcza.

Po świętach przyszedł czas na odpoczynek. Lauren coraz więcej czasu spędzała na sofie lub w fotelu. Ponieważ, obarczona dużym brzuchem, nie mogła już skutecznie ścigać Marka, który wciąż był czymś zajęty, więc z filozoficznym spokojem stwierdziła, że najpierw musi poczekać na rozwiązanie.

Termin porodu wypadł na styczeń, miała więc nadzieję, że święta Bożego Narodzenia spędzi w Sunrise.

Na dworze zrobiło się chłodniej, ale Lauren często wychodziła na taras, żeby pooddychać świeżym powietrzem. Zaglądała też do swego ogródka i cieszyła się na widok kwitnących kwiatów.

Atmosfera w domu stała się jakby jeszcze miłsza, bardziej serdeczna. Czuło się zbliżające się święta, ale ważne było również to, że Eddie i Mark wszystko wyjaśnili Lauren.

Lecz w myślach Lauren wciąż przygotowywała się do następnej rozmowy z Markiem, dotyczącej tym razem nie przeszłości, ale przyszłości. Była pewna, że wszystko pójdzie po jej... i Marka... myśli. Cieszyła się wraz z dziewczynkami z nadchodzących świąt. Dawno nie była tak pozytywnie nastawiona do świata.

I nagle, dwudziestego pierwszego grudnia o godzinie dziesiątej trzydzieści rano, poczuła bóle, a potem zaczęły jej odchodzić wody płodowe.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

„Nigdy nie kochałem i nie pragnałem tak mocno. Wiem jednak, że nie mam najmniejszych szans”.

(Fragment z pamiętnika Marka Remingtona)

Jej ciało lśniło od potu, a szczęki miała zaciśnięte. Bolało już ją gardło, chociaż starała się krzyczeć jak najmniej, koncentrując się na parciu.

– Jeszcze, jeszcze trochę – prosił lekarz. – Zaraz pani odpocznie.

Zrobiła ten jeden, ostateczny wysiłek, bojąc się, że zaraz zemdleje. I nagle poczuła, że dziecko jest już poza nią i że położna wyciera jej czoło ligniną.

Po chwili usłyszała płacz. Uniosła nieco głowę, by zobaczyć dziecko, ale szybko ją opuściła. Była zupełnie wyczerpana. Poród trwał siedem godzin.

– Ma pani syna – powiedział lekarz.

Przytuliła do siebie bezbronną, czerwoną istotkę, która krzykiem oznajmiła swoje przyjście na świat. Miała syna! Jaka szkoda, że Nathan nigdy się o tym nie dowie.

– Zaraz przekażę wiadomość pani mężowi – powiedziała uspokajająco pielęgniarka.

Lekarze czekali na łożysko. Lauren chciała powiedzieć, że nie ma męża, ale pielęgniarka zniknęła za drzwiami.

– Jeszcze chwila – uspokoiła ją położna. – Już nie będzie bolało.

Lauren wiedziała, że Mark wciąż czeka na korytarzu. Przywiózł ją tutaj, starając się prowadzić szybko, ale ostrożnie, żeby nie przyspieszyć akcji porodowej.

Po chwili poczuła, że ma łzy w oczach. Dziecko przestało krzyczeć, przytulone do jej brzucha. Może nareszcie poczuło, że jest bezpieczne, a może się po prostu zmęczyło.

– Dostała pani piękny gwiazdkowy prezent – zauważył lekarz. – Proszę teraz odpoczywać. Zajrzę do pani za godzinę, kiedy będę kończył dyżur. Chce pani zobaczyć się z mężem?

– Tak – szepnęła wyczerpana.

Zamknęła powieki. Kiedy je ponownie otworzyła, zobaczyła nad sobą twarz Marka. Był przy niej przez cały czas, zastępując Nate'a.

W oczach Lauren pojawiły się łzy, a Mark pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Gratuluję – szepnął jej do ucha.

Miniaturowe światełka, które paliły się na wielkiej, stojącej w salonie choince, odbijały się w jasnych oczach Sonyi. Dziewczynka podeszła, żeby

obejrzeć trzymanego przez Lauren noworodka.

– Wygląda zupełnie jak Jezusik – zauważyła Sonya. – Prawda, Eddie?

Tonya stała troszkę dalej, bojąc się podejść do malucha. Nigdy jeszcze nie widziała tak małego dziecka i wprost nie mogła uwierzyć, że ta drobinka jest „prawdziwym człowiekiem”.

Lauren powinna zostać w szpitalu pełne trzy dni, ale ze względu na święta wypisano ją wcześniej. Dzięki temu przed dwoma godzinami przyjechała tu z Markiem i mogła wziąć udział w ubieraniu choinki. Wyglądało to w ten sposób, że siedziała na fotelu i nie szczędziła cennych rad, bowiem lekarz polecił jej, by przez najbliższe dni starała się jak najmniej chodzić.

Chłopczyk spał. Po krótkiej naradzie zdecydowali się dać mu na imię Nathan.

Lauren nauczyła się w szpitalu przewijania i pielęgnacji noworodka. Miała dużo pokarmu, więc nie potrzebowała sztucznych odżywek, a Eddie zadbała o wszystkie potrzebne sprzęty, ubranka i kosmetyki.

Lauren z rozrzwinięciem spostrzegła, że cały dom był przygotowany na przyjęcie małego Nate’a.

– Czy możemy położyć go do żłóbka? – spytała niepewnie Tonya.

Sonya aż zaklaskała w ręce.

– Tak, tak! Będziemy miały szopkę z prawdziwym Jezuskiem!

Eddie uznała, że powinna wkroczyć do akcji.

– A może którąś z was położymy na sianie? Będzie wam przyjemnie tak leżeć?

– No, nie, siano kłuje – zreflektowała się Tonya.

– Lepiej udawajmy, że jego kołyska to żłóbek – zaproponowała Sonya. – I będziemy mu mogły śpiewać kolędy, żeby zasnął!

– Świetny pomysł – zgodziła się Lauren, która jeszcze przed chwilą przycisnęła śpiącego malca w obawie, że dziewczynki będą chciały go zabrać.

– A może weźmiemy go do stajni? – zaproponowała radośnie Sonya.

– Przecież tutaj wystarczy nam miejsca – wtrąciła się Eddie. – Chyba że wasz wujek dokupi jeszcze kilka sprzętów dla dziecka i wtedy rzeczywiście będziemy się musieli wszyscy przenieść do stajni.

Mark chrząknął.

– Ograniczyłem się do niezbędnego minimum – powiedział niepewnie.

– To po co dziecku kołyska i dwa łóżeczka? – dopytywała się kpiąco Eddie. – Zwłaszcza że Nate i tak śpi z mamą.

Lauren przysłuchiwała się tej sprzeczce z uśmiechem. Mały Nate był rzeczywiście najpiękniejszym i najwspanialszym prezentem gwiazdkowym, jaki mogła sobie wymarzyć.

– Stajnia to dobry pomysł. – Sonya forsowała swoją koncepcję. – Klara i tak ma dużo miejsca, na pewno się z nami podzieli.

– Klara to klacz – wyjaśniła Eddie zdziwionej Lauren. – Ma już dwanaście lat.

Tonya odważyła się podejść bliżej.

– Jakie ma małe paluszki! – zachwyciła się. – Nie, nie zanośmy go do stajni, bo przecież Klara gryzie.

– Nikt nie miał takiego zamiaru – zapewnił ją Mark.

– Poza mną – szybko powiedziała Sonya.

– No i jest jeszcze problem miejsca – przypomniała im Eddie, patrząc znacząco na Marka.

A on westchnął głęboko i pokręcił głową.

– Wobec tego będę musiał wyrzucić te prezenty – powiedział, wyciągając zza sofy dwie wielkie, pięknie zapakowane paczki.

– Przecież święta są jutro – powiedziała z przyganą Eddie. – Będziemy musieli poczekać do rana. Na pewno nikt nie będzie chciał otworzyć wcześniej prezentów.

– My! My chcemy! – wykrzyknęły bliźniaczki i straciwszy zainteresowanie noworodkiem, truchtem przybiegły do wuja.

– To dobrze, bo myślałem, że Eddie zmusi mnie do wyrzucenia tych rzeczy – rzekł z uśmiechem.

– Psujesz je – upomniała go Eddie, chociaż oczy jej się śmiały.

Bliźniaczki rzuciły się na paczki, w których były słodycze, a także dwie kasyety wideo z filmami, które od dawna chciały obejrzeć.

– Chodziło mi o to, żeby nie przeszkadzały – powiedział Mark, wskazując na dziewczynki, które wybiegły do pokoju, gdzie na czas świąt umieszczono sprzęt wideo. – Skończymy przynajmniej ubieranie choinki.

W tym momencie malec obudził się i zaczął płakać. Lauren czuła, że ma pełne piersi.

– Mały Nate jest głodny – wyjaśniła.

– Może się z nim po prostu połóżysz – zaproponowała Eddie. – Zrobiło się późno. Będziesz mogła od razu pójść spać.

Lauren skinęła głową.

– Masz rację.

Mark natychmiast stanął przy niej, żeby jej pomóc, ale pokręciła głową. Poszła wolno do swojego pokoju, trzymając dziecko przy piersi.

Mark, który patrzył za nią, teraz wyjrzał przez okno.

– Już ciemno – zauważył. – Obiecałem chłopakom, że im pomogę. Hank ma grypę.

– Nie ma problemu. Choinka jest już prawie ubrana – stwierdziła Eddie.

Mark szybko zebrał się do wyjścia.

W drodze do stajni wyobrażał sobie Lauren leżącą na łóżku z małym

Nate'em przy piersi. Ten obraz prześladował go od paru dni.

Przede wszystkim żałował, że nie wypada mu patrzeć na karmiącą Lauren. Chętnie przyjrzałby się jej wezbranym mlekiem piersiom i małej istotce, która je ssie z taką ufnością i zapamiętaniem. Poza tym, ale było to już bardzo śmiałe marzenie, chciał leżeć przy karmiącej matce i pieścić jej pachnące pokarmem ciało.

Jednak wiedział, że musi trzymać się od Lauren z daleka.

Przypomniał sobie inny obraz: więzienie stanowe otoczone drutem kolczastym i swego brata w boksie, oddzielonego od niego pancerną szybą.

Te dwa obrazy zupełnie do siebie nie pasowały. Jeden wykluczał drugi. Dlatego Mark postanowił, że już niedługo na zawsze zniknie z życia Lauren. Na razie jednak chciał się jeszcze nacieszyć obecnością jej i małego Nate'a.

Lauren obudziła się i spojrzała na cyfrowy zegar stojący tuż przy łóżku. Dochodziło pół do piątej. W ciągu dwóch miesięcy, które minęły od urodzenia Nate'a, nauczyła się budzić przy każdym szeleście.

Po jakimś czasie poszła za radą Eddie i po karmieniu zaczęła odkładać malucha do kołyski. Trzymanie go przy sobie było wygodne, ale też niebezpieczne. Dziecko mogło udusić się poduszką albo spaść z łóżka, a w najlepszym przypadku po prostu przyzwyczać się do spania z matką.

Lauren zajrzała do kołyski. Ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że jest pusta. Jednak wciąż słyszała dźwięki wydawane przez synka.

Włożyła leżący na krześle szlafrok i wyszła na korytarz. W domu było prawie zupełnie cicho, tylko z dołu dobiegł do niej znajomy niemowlęcy szczebiot.

Pewnie Eddie wzięła malucha, pomyślała Lauren i ruszyła na dół. Niedługo i tak trzeba będzie go nakarmić.

Nagle stanęła porażona tym, co zobaczyła.

Na sofie w kącie siedział półnagi Mark i delikatnie, niczym porcelanowy puchar, trzymał małego Nate'a. Dziecko wpatrywało się w niego swoimi okrągłymi oczkami, on zaś robił do niego różne miny.

– Cicho, brzdącu – szepnął, kiedy dziecko znowu zaskrzeczało z uciechy.

Posadził Nate'a na kolanie i zaczął go miarowo kołysać.

– Cicho, ci... – mruczał Mark. – Przecież twoja mama musi się wyspać.

Lauren poczuła, że coś dławi ją w gardle. Oto miała przed sobą dwóch mężczyzn swojego życia. Siedzieli nieopodal, wpatrując się w siebie z miłością.

Boże Narodzenie minęło, a potem nadszedł sylwester. Złożyli sobie z Markiem życzenia, lecz Lauren wciąż nie mogła znaleźć sposobności, aby z nim porozmawiać. Było zupełnie jasne, że Mark celowo unika kontaktów z nią, ale znając jego motywy, potrafiła mu to wybaczyć, choć równocześnie odczuwała pewną gorycz. To wszystko trwało stanowczo za długo.

Nathan znowu zapłakał.

– Cii, ciii... Wiem, że chcesz do mamy. Jej ramiona to najmiłsze miejsce na świecie.

Lauren poczuła ukłucie w sercu. Te słowa były najwspanialszym wyznaniem miłosnym, jakie mogła usłyszeć. Wciąż stała w drzwiach, czekając, co będzie dalej. Teraz jednak nie wiedziała, czy się nie wycofać, ponieważ to, co usłyszała, nie było przeznaczone dla niej.

Jednocześnie pomyślała, że właśnie teraz nadarza się okazja, aby porozmawiać z Markiem. Zdawała sobie sprawę z tego, że rozmowa może być długa i trudna. Między nimi powstało wiele nieporozumień. Trzeba czasu, żeby to wszystko wyjaśnić i naprawić.

Mały Nate znowu zaświergotał coś w swojej niemowłczej mowie i Mark zaczął go uciszać, kołyszając delikatnie. Lauren energicznie weszła do pokoju.

– Dobry wieczór – usłyszała swój nieco schrypnięty głos. Mark zastygł na swoim miejscu, natomiast maluch od razu zaczął płakać, wyczuwając, że coś jest nie tak. Lauren wiedziała, że jest tylko jeden sposób, aby go uspokoić.

– Chodziło mi o to, żebyś miała odrobinę spokoju – wyjaśnił szybko Mark, przekazując jej dziecko.

– Ostatnio dbasz o mój spokój jak nigdy – rzekła z przekąsem. – Prawie cię nie widuję. Zaczekaj, tylko nakarmię malucha – dodała, widząc, że Mark chce odejść.

Rozsunęła poły szlafroka i rozpięła piżamę, która zastąpiła koszulę nocną. Było to znacznie wygodniejsze przy karmieniu.

Mark poruszył się niespokojnie na swoim miejscu. Spuścił wzrok, starając się nie patrzeć na jej duże, kuszące piersi.

Lauren siedziała w fotelu, trzymając Nate'a na ramieniu. Gdy tylko maluch poczuł pierś, zaczął szukać ustami sutki, a kiedy ją chwycił, przyssał się do niej z siłą pijawki.

– Aa!

– Boli? – zaniepokoił się Mark.

– Tylko na początku.

Nathan zasnął w trakcie karmienia. W salonie znajdowało się zapasowe łóżeczko, więc Lauren położyła w nim synka. Dzięki temu nie straci malucha z oczu, a wiedziała, że gdy już zasnął, to nawet głośna rozmowa na pewno go nie obudzi.

Powoli zaczynała rozumieć, po co Mark kupił dwa łóżeczka i dlaczego jedno umieścił właśnie tutaj. Proceder, który zaobserwowała, zdarzał się na pewno częściej. Mark zabierał z jej pokoju Nate'a, bawił się z nim, a potem, gdy niemowlak zasypiał, odnosił go do jej sypialni. Musiał zachowywać się naprawdę cicho, skoro nigdy nic nie usłyszała.

Spojrzała na Marka. Z wyraźną ulgą przyjął to, że w końcu zakryła piersi.

– Dobrze sobie radzisz z dzieckiem – zauważyła. Wzruszył ramionami.

– Jakoś nie mogłem zasnąć, więc stwierdziłem, że mogę się nim zająć – skłamał.

Lauren postanowiła nie drażnić tego tematu. I tak czekała ich trudna rozmowa.

– Czy zauważyłeś, jak ludziom trudno jest powiedzieć to, co naprawdę myślą? – zaczęła, patrząc mu w oczy. – Najpierw długo zastanawiamy się, jak to zrobić, wymyślamy różne strategie, a kiedy przyjdzie co do czego, nie potrafimy wydusić z siebie ani jednego sensownego słowa. I zmykamy gdzie pieprz rośnie.

Mark skinął głową. Tak właśnie się zachowywał przez ostatnich kilka miesięcy.

– A zastanawiałeś się, dlaczego? – spytała Lauren.

– Ze strachu? – rzucił.

Spojrzała na niego, wciśniętego w kąt sofy. Już przeczuwał, w jakim kierunku będzie zmierzała ta rozmowa.

– Strach też. I niepewność – mówiła Lauren. – Ale wydaje mi się, że również to, jak postrzegamy drugą osobę...

Dziecko poruszyło się niespokojnie i Lauren wstała, aby je uspokoić. Pogłaskała malucha po główce i ponownie przykryła go flanelową pieluszką.

Mark poczuł, że jego serce zaczęło bić szybciej. Czuł się tak, jakby czekała go ostateczna rozgrywka, jakby teraz wszystko miało się zadecydować.

– I jaki stąd wniosek? – spytał nieswoim głosem. Uśmiechnęła się do niego i pokręciła głową.

– Żaden. Chciałam tylko powiedzieć, że przez ostatnie miesiące układałam scenariusz tej rozmowy z tobą. Wydawało mi się, że nie będziesz chciał mnie słuchać albo że będziesz się wycofywał, więc wymyślałam najrozmaitsze argumenty. A teraz, kiedy po prostu siedzisz przede mną, sama nie wiem, jak to wszystko powiedzieć.

Świadomość, że nie tylko on jest spięty, podziałała na Marka rozluźniająco.

– Nie musisz nic mówić.

Patrzył przez chwilę na nią, a potem na dziecko, i pomyślał, że stanowią całość, do której on nie ma dostępu. Musi się wycofać i odejść. Powinien zrobić to już znacznie wcześniej, ale coś go ciągnęło do Lauren i małego Nate'a.

– Tylko nie waż się odejść! Nie tym razem! – powiedziała ostro, widząc, że wstaje.

Sama też poruszyła się gwałtownie i poły jej szlafroka rozsunęły się. Mark dojrzał górę jej bujnych piersi. Patrzył, zafascynowany tym widokiem. Lauren zadziwiająco szybko wróciła do formy i teraz znów miała młodzieńczą sylwetkę. Tylko jej piersi wciąż były duże i ciężkie. Pragnął ich dotknąć. Chciał je pieścić. Jednak były to tylko marzenia.

Stały się one jednak niebezpiecznie konkretne.

Potrząsnął głową. Nie, nie, Lauren jest piękna i czysta. Ma swój uporządkowany świat, do którego on, Mark, zupełnie nie pasuje.

– Nie powinienem być tutaj – stwierdził i dopiero po chwili uświadomił sobie, że wypowiedział myśl, która dręczyła go już od dawna.

W oczach Lauren pojawił się ból. Przypomniała sobie wszystkie jego opowieści z dzieciństwa i nieufność, z jaką traktował Remingtonów.

– Mylisz się, Mark. Naprawdę się mylisz. Właśnie tutaj jest twoje miejsce. Przy nas.

Zawsze się wycofywał. Teraz też zaczął odruchowo kręcić głową, zanim jeszcze podjął świadomą decyzję.

– Potrzebujemy cię, Mark. Ja i Nate. Dlatego nie wmawiaj sobie, że do nas nie pasujesz.

Zaczerpnął haust powietrza.

– Ale ja naprawdę do was nie pasuję – rzekł z rozpaczą. Lauren potrząsnęła głową. Poły szlafroka rozchyliły się jeszcze bardziej.

– Wmówiłeś sobie, że nikomu nie jesteś potrzebny. A dziewczynki? A Eddie? A twoi pracownicy? Również Nate cię potrzebował. Byłeś dla niego kimś ważnym. Na pewno doceniłby to, że się wycofałeś, gdyby znał twoje motywy – zakończyła zaczerwieniona.

– Kochałaś go przecież.

Lauren zamilkła na chwilę i spojrzała na swoje dłonie.

– Tak, starałam się go kochać najlepiej, jak umiałam. Pragnęłam odwzajemnić jego miłość. Mam nadzieję, że widział to i rozumiał, ale... – zawiesiła głos. – Ale tak naprawdę zawsze kochałam ciebie. Uświadomiłam to sobie tamtej nocy. Ty też o tym wiedziałeś. Niestety, było za późno.

Jej słowa cięły jak skalpel. Jednak mimo to Mark poczuł ulgę. Było jednak coś, co powstrzymywało go przed wzięciem jej w ramiona.

– Ale Ray... – zaczął.

Lauren nie pozwoliła mu skończyć:

– Nie jesteś odpowiedzialny za Raya. On sam decydował o swoim życiu. Wszędzie tam, gdzie mogłeś zrobić coś dobrego, wszystko szło jak z płatka. Pomyśl o tym, co by się teraz działo z dziewczynkami i Eddie. Pomyśl o mnie! Sama nie wiem, czy udałoby mi się przy tylu problemach urodzić tak zdrowe dziecko.

Jednocześnie spojrzeli na śpiącego Nate'a i na ich ustach pojawił się uśmiech. Jakby łączyło ich jakieś sekretne porozumienie.

– Nie uciekaj od nas, Mark – poprosiła Lauren. Natychmiast znalazł się przy niej, na fotelu. Zaczął ją tulić i pieścić, nie mogąc nacieszyć się jej bliskością.

– Zawsze cię kochałem – wyznał. – Wciąż na ciebie czekałem.

Lauren przytuliła go do siebie.

– Ja też, Mark. Ja też.

Dziecko w kołysce nawet się nie poruszyło. Spało ciche i spokojne, kiedy Lauren i Mark połączyli się w namiętym pocałunku.

Zaczynało już świtać, gdy w końcu przenieśli małego Nate'a do jego kołyski. Lauren też należał się odpoczynek.

Mark rozebrał ją powoli, a następnie położył na pościeli. Przez chwilę wpatrywał się bez żadnych zahamowań w jej kształtne ciało, a następnie dotknął delikatnie zarumienionego policzka.

– Powinnaś się przespać – szepnął. – Nate pewnie niedługo zbudzi się na kolejny posiłek.

Lauren skinęła głową i wtuliła się w Marka. Jej oddech szybko się wyrównał. Macierzyńskie doświadczenia sprawiły, że zasypiała teraz równie łatwo, jak się budziła. Zresztą stale towarzyszyło jej lekkie niedospanie, jakże typowe dla tego okresu.

Jednak obecność Nate'a stanowiła dla niej dostateczną rekompensatę za te wszystkie niedogodności.

Natomiast Mark nie mógł zasnąć. Patrzył na ukochaną kobietę i myślał, że zmarnował tak wiele czasu. Miał nadzieję, że teraz wszystko będzie już prostsze. Że nareszcie, mimo całego bagażu złych doświadczeń, będzie mógł żyć jak normalny człowiek. Słyszał oddech Lauren i czuł się wspaniale. Słońce coraz piękniej złociło się za oknem. Wstawał dzień. Najszczęśliwszy dzień w życiu wiecznego uciekiniera! Byłego uciekiniera, pomyślał z uśmiechem Mark.

Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że Lauren też ma otwarte oczy.

– Myślałem, że śpisz – powiedział.

– Przy tobie? Nie, po prostu odpoczywam.

– Ja też nie mógłbym przy tobie zasnąć – wyznał. – Za bardzo mnie... pociągasz.

Objęła go i przytuliła do siebie. Ich usta spotkały się w długim pocałunku.

– Jesteś pewna?

– Tak, już możemy.

Jednak Mark starał się postępować jak najdelikatniej. Przypomniawszy sobie, jak kochali się ostatnio, i przesunął Lauren tak, aby móc wziąć ją od tyłu. Pieścił ją delikatnie, masując kręgosłup, który zresztą dokuczał jej teraz rzadziej.

Lecz gdy wszedł w nią, jego ruchy nabrały gwałtowności. Kochali się tak jak przedtem – namiętnie, osiagając pełnię ekstazy.

– Och, jak cudownie! – westchnęła.

– Tak, tak, tak! – Jego słowom towarzyszyły kolejne silne pchnięcia.

A potem osiągnęli szczyt rozkoszy.

Kiedy już leżeli obok siebie, zaspokojeni i zmęczeni po nie przespanej

nocy, Mark jeszcze raz pomyślał, że już nigdy nie będzie musiał uciekać. Lauren natomiast pomyślała, że w końcu osiągnęła to, czego pragnęła.

Przypomniała sobie Marka z czasów, gdy dopiero co zamieszkał u Remingtonów. A potem, gdy chodzili razem do szkoły. A następnie wspomniała czasy ich wspólnych wypadów za miasto. Czy to możliwe, żeby zawsze go kochała? Dziki, nieokiełznany Mark leżał obok, a ona miała pewność, że codziennie będzie budzić się przy jego boku.

Powieki ciążyły jej coraz bardziej, a opromieniony słońcem pokój odpływał gdzieś daleko.

I właśnie w tym momencie zapłakał mały Nate.

– Tam do licha! – zaklęła, ale bez złości.

– Leż. Zaraz ci go podam – powiedział Mark i były to najpiękniejsze miłosne słowa, jakie mogła usłyszeć.

„Życie jest cudowne. Nawet nie przypuszczałam, że Mark ma w sobie tyle ciepła. Za tydzień mały Nate skończy rok. Właśnie w tę rocznicę postanowiliśmy się pobrać. Przyjeżdża cała rodzina. Nigdy nie przypuszczałam, że będę tak szczęśliwa. I zapracowana. Muszę już kończyć”.

(Fragment z pamiętnika Lauren Remington)